

odgłosy



39 (532)

28. IX. 1969 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



ANDRZEJ MAKOWIECKI

Płynie wino grają saksofony

1.

Kawiarnia w północnym sektorze miasta płonie o zmierzchu kolorowym światłem i przypomina z ulicy karnawałową bombonierkę. Na parkingu czeka w zwartym szyku bojowym kilkanaście luksusowych samochodów, składających się z opon, silników, siedzeń wyłożonych najszczerzym tworzywem i kluczyków, którymi należy głośno pobrzękiwać wehdoząc przez oszklone drzwi do środka...

Oto hall: drewniana boazeria, lśniąca marmurowa posadzka; szatnia, gdzie człowiek w granatowym uniformie ziewa szeroko dotleniając się dymem papierosów; toalety, przy których waruje kobieta o twarz staro Indianina (jak ja bym, panie, nie miała takich, co brudzą z przepicia, to bym nie wyszła na swoje); wąski korytarz, którego strzeże cerber w spódnicy handlujący biletami wstępu, i... główna, kwadratowa sala: barek o wysokich stołkach zastawiony gęsto napojami wysokiej próby (koniak z trzema gwiazdkami, panie szefie, jest tak samo dobry, jak z pięcioma, bo to wszystko z jednej beczki lali); kolisty wypucowany do połysku parkiet (wczoraj wieczorem pan Lolek, macher de wizowy, poślizgnął się i rymsnął jak długi); stoliki okraszone gazem, kawą i sokami; obite skórą fotele, na których w luźnych relaksowych pozach spoczywają długowłose zjawy; estrada wreszcie, gdzie kapela w rajcowych czerwonych smokingach szykuje się właśnie do grania.

— Dobry wieczór państwu! — mówi wylisany gość z elektryczną gitarą na szyi: — Rozpoczynając nasz codzienny koncert wokalnno-muzyczny mam zaszczyt życzyć państwu wesołej zabawy. Raz, dwa, trzy! Kazaczok!

— Los desperados! — krzyczy ktoś z końca sali.

— Amigos!

— Seniores!

— Defloratores!

— Rozkwitwały jabłonie i grusze — śpiewa zespół przymykając tęsknie oczy. Dwie, trzy pary na parkiecie. Po chwili cały tłum. Tańczą dziarsko trzymając się pod bok; kozacza nóżka dzwoni o podłogę; cmo kanie, zasysanie, pot. Orkiestra zwalnia. Słychać żalobną wstawkę przyszytą do „Katuszy” przez jakiegoś cwaniaka z Zachodu. Tłum kuca na parkiecie, faluje rytmicznie jak tan zboża pod łagodnym wiatrem. Ale oto wyłisany gitarzysta, kierow szczyk kapeli, podchodzi do mikrofonu, robi „huuuu!”, wrzeszczy: „a plać z naczała” i znowu tłumek rzuca się do tańca przytupując dziarsko w rytm muzyczki...

— Rwiemy tego kota pod oknem?

— Ale jak?

— Ty podejdziesz i powiesz, że mam Taunusa.

— Ale ten facet też ma Taunusa.

— Ale on ma pięćdziesiąt lat.

— Ale może być dobry.

— Ale nie musi być lepszy.

— Ale jak jej dobrze nawiniesz, to ona jakoś to załatwi i zrobimy kooperatywę, stary przy nas, my przy starym...

— Trzeba go jakoś rozmięczyć.

— Zasań mu od razu z grubej rury, że masz ojca na placówce w Argentynie.

— Nie polknie.

— Polknie.

— No, dobrze. To ty zamów przez ten czas szampana...

KAROL BADZIAK

Tańczący skansen

Nie ma drugiego, tak osobliwego miasta w Polsce, jak Zakopane. To miasto robi wszystko, żeby do siebie zracić, zniechęcić, obrzydzić siebie. Bez rezultatu. Każde sobie słono płacić, zmieniało nawet mikroklimat. Na Krupówkach unosi się w powietrzu więcej spalin niż na Piotrkowskiej. Mimo to urok gór działa tak silnie, że rocznie odwiedza Zakopane 2,5 miliona osób, zostawiając tutaj miliard złotych.

Transfer pieniądza jest tu wyższy niż Giewont, na który dziennie wspina się tyśiąć śmiałych. Miasto broni się jak może przed groźnym zalewem nieobliczalnych tłumów. Bez skutku. Już na samym wstępie, ledwo człowiek z pociągu wysiadzie czyhają nań „zobójcy”. W dorożkach. Za-

kopanina. wynalazek Witkacego — a on się na narkotykach znał jak mało kto — działa widocznie jak czad, jak opium, jak bo ja wiem co.

Powodzenie tego miasta u Polaków równa się chyba tylko powodzeniu Mekki wśród wyznawców Allacha. Biedna, głodna wioska odkryta przez dr Chałubińskiego w XIX stuleciu zrobiła większą karierę wśród turystów i wczasowiczów niż Niemcy wśród nastolatków. Dość powiedzieć, że każdy zakopiańczyk ma z tego powodu na książeczce oszczędnościowej 6,5 tys. zł. Tylko na książeczce. W ostatnich paru latach wybudowano tutaj 1000 prywatnych, jednorodzinnych budynków, wille ekstraklasa, kilkunastopokojowe. Daleko im jednak do stylu „zakopiańskiego”, który był

wynalazkiem z kolej ojca Witkacego, Stanisława Witkiewicza. Zresztą obaj się Zakopanemu zaśluzili, tylko każdy na inny sposób.

Co zaś do stylu Zakopanego istnieją dwie szkoły. Jedna konserwatywna, tradycyjna, która chciałaby uczynić z tego miasta skansen i każdą szopę w nim naznaczyć tablicą: „Zabytek pod ochroną Ministra Kultury”. Druga, radykalnie postępową, supernowoczesną. Jej wyznawcy proponują zburzyć stare rudery, a w ich miejsce wystrzelić w niebo szklanymi, niklowanymi i betonowymi wieżowcami. Z górskiej stolicy Polski stworzyć górską stolicę Europy. Na razie obie szkoły zawarły kompromis. „Zycie jakoś tam samo ureguluje”.

I tu dochodzimy do istoty sprawy, do owej nieustannej dyskusji konserwatora zabytków z inżynierem budowlanym, etno grafą z komiwojażerem „Estrady”, miłośnika folkloru z działaczem od maskultury. Jest to dyskusja wieczna, jak wieczna jest walka starego z nowym. Odchodzącego z nadchodzącym. Ale wcale nie pozbawiona sensu. Choć z góry wiadomo kto przegra. Od kilkudziesięciu lat dyskutowano nad

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 5



Otwarcie sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ ródzi zawsze nadzieje — może tym razem uda się przy pomocy Organizacji Narodów Zjednoczonych dokonać rzeczywistego kroku w kierunku międzynarodowego odprężenia i pokoju? I choć doświadczenie ostatnich lat uczy, że najważniejsze międzynarodowe postanowienia wolać ciszę gabinetów i dyskrecję niż dyskusję na szerokim forum, jednak pytanie pojawiło się również w roku bieżącym. Już po raz dwudziesty czwarty, bo tyle lat liczy sobie ONZ.

Zainteresowanie sesją w światowych kołach politycznych jest duże, ponieważ wachlarz zagadnień, jakie mają być na niej rozpatrywane, jest szeroki. Zagadnieniem nr 1 jest oczywiście rozbrojenie. Wiele uwagi przywiązuje się również do problematyki współpracy międzynarodowej na polu gospodarczym oraz pomocy dla krajów rozwijających się. Sesji nie będzie przedłożony żaden dokument w gotowej i uzgodnionej formie, nie należy więc oczekiwać żadnych konkretnych uchwał czy postanowień. Ale będzie ona z pewnością barometrem stosunków między państwami i wykładnią politycznych tendencji. Z sesją można też łączyć nadzieje na owocne rozmowy kulturalne i podjęcie dalszych konsultacji ministrów spraw zagranicznych czterech mocarstw w sprawie wciąż komplikującej się sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Z wygłoszonych dotychczas przemówień zwracają uwagę dwa: prezydenta Nixona i min. Gromyki. Pierwsze, zgodnie to oceniają komentatorzy zagraniczeni, rozczarowało; nie przyniosło żadnych nowych elementów, ale było jedynie rekapitulacją dotychczasowego kursu polityki amerykańskiej, drugie wzbudziło zaciekawienie z powodu nowych inicjatyw ZSRR. Min. Gromyko poddał bowiem do rozpatrzenia przez Zgromadzenie Ogólne projekt dokumentu „O umocnieniu bezpieczeństwa międzynarodowego”, zaproponował, aby sesja wezwała rządy do ścisłego przestrzegania zasad pokojowego współistnienia, oraz w imieniu 7 państw, a w tej liczbie i Polski, przedłożył projekt konwencji, zmierzającej do wyjęcia spod prawa chemicznych i biologicznych środków prowadzenia wojny. Projekt ten przewiduje zakaz opracowywania, produkowania i gromadzenia wymieniających rodzajów broni oraz jej zniszczenie.

Przedkładając powyższe propozycje min. Gromyko omówił szczegółowo drogi prowadzące do pokoju w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie, przypomniał warunki utrzymania pokoju w Europie, wymieniając wśród nich przede wszystkim nięnaruszalność granic, oraz podkreślił potrzebę zahamowania wyścigu zbrojeń, na które obecnie wydaje się w świecie w stosunku rocznym ok. 200 mld dolarów.

Można przewidywać, że radzieckie propozycje będą osiłą wielu wystąpień w debacie generalnej i podczas obrad komisji ONZ.

W związku z rozpoczęciem sesji sekretarz generalny NZ — U Thant ogłosił swój coroczny raport, który w części wstępnej, liczącej ponad 70 stron maszynopisu, ma charakter oceny politycznej sytuacji w świecie.

U Thant stwierdza w nim, że w realizacji celów ONZ, a więc w dziedzinie utrzymania międzynarodowego pokoju, rozwoju przyjaznych stosunków między krajami oraz rozszerzenia wspólnej pracy, „dokonany został bardzo mały postęp”. Ocena jest zatem dość pesymistyczna. W istocie — sekretarz generalny miał niewiele faktów, aby okres, zawarty między datami sesji, scharakteryzować w jasniejszych barwach. W Wietnamie nie nastąpiła deeskalacja działań wojennych, na Bliskim Wschodzie wypadki toczą się w kierunku dalszego zaostrzenia, problemy kolonializmu i rasizmu nie straciły nic ze swej ostrości, a postępy w dziedzinie rozbrojenia są ograniczone.

Raport U Thanta można odczytać jako wezwanie do wszystkich krajów, ale szczególnie do wielkich mocarstw o połączenie wysiłków w działaniu na rzecz pokoju. Do supermocarstw: Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego sekretarz generalny NZ apeluje ponadto o niezwłoczne podjęcie rozmów na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Przebieg sesji ZO i towarzyszące jej rozmowy dwustronne będą śledzone na całym świecie z nadzieją, że wymkną z nich dla pokoju i bezpieczeństwa narodów coś korzystnego.

* * *

W najbliższą niedzielę, o czym pisaliśmy w ub. tygodniu, zastanawiając się nad szansami najliczniejszych partii, odbędą się w NRF wybory do Bundestagu. W związku z tym garść informacji.

Uprawnionych do głosowania jest 38,6 mln obywateli. Wybierać oni będą 496 deputowanych — połowę drogą głosowania większościowego — połowę proporcjonalnie — oddając głosy na listy partyjne.

Do uczestnictwa w wyborach zgłosiły się 22 stowarzyszenia polityczne.

W Bundestagu obecnej kadencji reprezentowane są trzy partie. Dotychczasowy rozdział mandatów był następujący: CDU/CSU — 245, SPD — 202 i FDP — 49.

Przypomnijmy jeszcze, że w 1965 roku — kosztem FDP — CDU/CSU zyskała 3 mandaty, a SPD — 12.

W. SŁAWSKI

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

(5)

Tajemnice dyplomatycznych sejfów z roku 1939

Tydzień jeszcze dzielił Europę od wybuchu drugiej wojny światowej, jeśli przyjąć za miernik czasu słynną rozmowę Hendersona z Hitlerem z dnia 25 sierpnia 1939 roku, rozmowę Polakom nie znaną (cyt. w „Odgłosach” nr 35). Tydzień jeszcze. Aż i tylko...

* * *

...Artykuł 1 brytyjsko-polskiego Paktu Wzajemnej Pomocy, zawartego 25 sierpnia 1939, a podpisanego przez vicehrabiego Halifaxa, „pierwszego sekretarza stanu d/s polityki zagranicznej” ze strony brytyjskiej i hrabiego Edwarda Raczynskiego, ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego ze strony polskiej, przewidywał: „Gdyby jedna z układających się stron miała zostać uwikłana w konflikt zbrojny z jakąś potęgą europejską, a to w wyniku ataku tej ostatniej, druga układająca się strona pośpieszy natychmiast stronie uwikłanej z wszelkim możliwym poparciem i pomocą przy użyciu wszelkich dostępnych środków”.

* * *

Wywiad niemiecki działał. W cytowanej w poprzednim odcinku cyklu („Odgłosy” nr 35) rozmowie Hitler — Henderson odnajdziemy z łatwością aluzje do sformułowań Paktu, mimo, iż rozmowa ta miała miejsce w Berlinie na dwa dni przed podpisaniem i opublikowaniem w Londynie tekstu angielsko-polskiego porozumienia obronnego.

...W dzień po podpisaniu Paktu, 26 sierpnia 1939 r. odezwał się z Paryża francuski premier Daladier, pisząc do Hitlera: „W godzinie najcięższej odpowiedzialności jaką mogą na siebie wziąć dwa mężowie stanu, a mianowicie w obliczu przelewu krwi dwu wielkich narodów pragnących jedynie pokoju i pracy, winien panu jestem osobiste stwierdzenie, że los pokoju leży jeszcze w pańskich rękach. Nie może pan wątpić, ani w moje uczucia wobec Niemiec, ani w uczucia mego narodu. Żaden Francuz nie uczynił więcej ode mnie, aby między naszymi narodami nie tylko umocnić pokój, lecz aby — nadto — w interesie własnym i Europy zapewnić szczerą współpracę. Jeśli nie ma pan mniej szego pojęcia o honorze Francji, niż ja mam o honorze Niemiec, to nie może pan wątpić, że Francja wiernie wypełni swoje zobowiązania

sojusznicze w stosunku do innych państw(...) na przykład Polski(...)”. Do dziś nie ma jeszcze nic takiego co by mogło przeszkodzić pokojowemu uregulowaniu kryzysu międzynarodowego bez uszczerbku na honorze i godności wszystkich narodów, o ile u każdej ze stron istnieje jednakowa wola pokoju. Najlepszej woli Francji towarzyszy najlepsza wola wszystkich jej sojuszników. Przejmuję osobiście gwarancję za tę gotowość, którą Polska zawsze okazywała dla obustronnego zastosowania metody wolnych (tj. dwustronnych, bez warunków wstępnych J. S.) porozumień, możliwych między rządami dwóch suwerennych narodów. Z całkowitym spokojem sumienia mogę pana zapewnić, że wśród niemiecko-polskich sprzeczności w sprawie Gdańska nie ma ani jednej takiej, która by uniemożliwiała (...) rokovania (...) dla uzyskania pokojowego i sprawiedliwego rozwiązania (...). Solidarność (francusko-polska — SJ) nigdy nie przeszkadzała nam i nie przeszkodzi również dzisiaj w utrzymaniu Polski w takim pokojowym nastawieniu.

Hitler odpowiedział szybko, 27 sierpnia.

„Rozumiem pańskie zastrzeżenia. Także i ja nigdy nie zapominam o ogromnej odpowiedzialności tych, którzy decydują o losach swoich narodów. Jako stary żołnierz frontowy znam również jak pan potworność wojny (...) starałem się także szczerze o usunięcie wszelkich zarzewi konfliktów między naszymi narodami. Zupełnie otwarcie oświadczyłem narodowi francuskiemu, że powrót Zagłębia Saary (do Rzeszy — przyp. aut.), stanowi nieodzowny warunek od tego. Natychmiast po tym powrocie uroczyście zagwarantowałem, że nie mam żadnych dalszych roszczeń, które by mogły dotknąć Francję. Naród niemiecki zaakceptował tę moją postawę. (...) Budowa wielkich umocnień na granicy zachodniej, umocnień które pochłonęły miliardy, oznaczają dla Rzeszy jednocześnie dokument akceptacji i ostatecznego wytyczenia granicy zachodniej. Naród niemiecki tym samym zrezygnował z dwóch prowincji, które kiedyś należały do dawnej Rzeszy (...). Przez tę rezygnację i przez tę postawę usunąłem, wierzyłem, niebezpieczeństwo powstania jakiegokolwiek problemów konfliktowych między naszymi narodami, problemów, które mogłyby doprowadzić do powstania tragedii z lat 1914—

Łodzianie w karikaturze



HENRYK RUDNICKI — HENDRYK

— dziennikarz

rys. Ibis-Gratkowski

1918. To dobrowolne ograniczenie niemieckich praw życiowych na Zachodzie nie może jednakże być rozumiane jako akceptowanie wszystkich innych postanowień dyktatu wersalskiego. (...) Rządowi polskiemu złożyłem propozycje, które przeraziły naród niemiecki. Nikt poza mną nie mógłby sobie pozwolić w ogóle na złożenie takich propozycji wobec własnej opinii publicznej. Ale też mogło to nastąpić tylko jeden jedyny raz! Jestem głęboko przekonany, że gdyby wówczas, zwłaszcza w Anglii, podjęto próby perswazji w stosunku do Polski zamiast wszczytać dziką nagonkę prasową na Niemcy i szerzyć plotki o niemieckiej mobilizacji — Europa mogłaby cieszyć się pokojem dziś i przez dalszych 25 lat. Poprzez kłamstwo o niemieckiej agresji jednakże podekscytowano polską opinię publiczną, rządowi polskiemu utrudniono podjęcie koniecznych, jasnych, własnych decyzji, a przez późniejszą udzielenie gwarancji przyćmiono ostrość spojrzenia na granice realnych możliwości. Rząd polski odrzucił propozycje. Polska opinia publiczna w głębokim przekonaniu, że teraz Anglia i Francja będą walczyć za Polskę, wystąpiła z roszczeniami, które może określić tylko jako śmieszne, gdyby nie to, że są one tak bardzo niebezpieczne.

28 sierpnia 1939 r. ponownie wstępuje w szranki dyplomatycznych pojedynków rząd JKM króla W. Brytanii. O godz. 22.30 ambasador brytyjski w Berlinie przekazuje Hitlerowi jedno z ostatnich angielskich memorandumów. I w tym dokumencie mówi się nadal „o możliwościach możliwości” błogosławionego w skutkach pokojowego załatwienia sprawy między Polską a Niemcami”, oferując nadal gotowość do odpowiedzi

niego oddziaływania na Polaków.

Rząd brytyjski uspokaja kanclerza, że „uzyskał już de finitywną zgodę Polski na ewentualne rozmowy dwustronne”. Rząd brytyjski apeluje, aby „również i pan kanclerz zechciał ogłosić podobną gotowość”. I wreszcie jedno choć nieco mocniejsze słowo:

„Brak tego rodzaju rozważań pogrzebałby nadzieję na lepsze zrozumienie między Niemcami a Wielką Brytanią, doprowadziłby obydwaj narody do konfliktu, a zapewne i cały świat wtoczyłby w wojnę. Taki wynik zaś stanowiłby katastrofę bezprzykładną w całej dotychczasowej historii”.

29 sierpnia 1939 r. Hitler odpowiada na memorandum brytyjskie. W jego konkluzji można wyczytać, iż Rzesza (...) raz jeszcze się poświęci, a to jedynie, mimo sceptycyzmu, w imię szans przyjaźni brytyjsko-niemieckiej. Hitler stwierdza, że „obecnie już (...) w razie wprowadzenia nowych uformowań terytorialnych w Polsce (...) Rzesza nie będzie więcej w stanie gwarantować czegokolwiek”, niemniej (...). „Żadna z propozycji niemieckich nie miała na celu pogwałcenia ważnych życiowo interesów polskich, czy też targnięcia się na egzystencję niepodległego państwa polskiego. W tym stanie rzeczy Rzesza przyjmie proponowane pośrednictwo W. Brytanii i zgodzi się przyjąć w Berlinie pełnomocnego przedstawiciela Polski. Rząd Rzeszy liczy się z przybyciem takiej osobistości w środę 30 sierpnia 1939 roku”.

Odpowiedź ta wręczona została ambasadorowi brytyjskiemu w Berlinie o godzinie 18.45 dnia 29 sierpnia.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ◆ HO CHI MINH — Notatnik z więzienia
- ◆ ZOFIA TARNOWSKA — Jeden ci nie zaszkodzi...
- ◆ RYSZARD BINKOWSKI — Jak to wesele
- ◆ Recenzje, felietony, opowiadania, nowela kryminalna itd.

LENIN O LITERATURZE

Przygotowując się do uroczystych obchodów stulecia urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina, przypadających na rok 1970, pragniemy przedstawić Czytelnikom szereg artykułów, popularyzujących dorobek wybitnego myśliciela i wodza międzynarodowej klasy robotniczej.

...w zmarszczkach na czole
ludzka myśl
potężna.
(W. MAJAKOWSKI)

Lenin — genialny organizator, rewolucjonista, polityk i filozof, problemy kultury i sztuki obdarzał zawsze dużą uwagą. Niezwykle czytany, władający kilkoma językami zadziwiał swoich rozmówców znajomością zagadnień kultury i sztuki, ukształtowanym programem estetycznym.

Każdy etap jego emigracyjnej drogi znał się pobytami i dogłębnymi studiami w bibliotekach i czytelniach. W Berlinie pracował w bibliotece cesarskiej, w Genewie w „Societe de Lecture”, w Paryżu w Bibliotece Narodowej, w Londynie w Muzeum Brytyjskim.

Listy Lenina z zesłania do rodziny i przyjaciół niezmiennie zawierały prośby o przysłanie książek i słowników. Jak wspominała N. Krupka potrafił „dla odpoczynku” całymi godzinami czytać jakiegokolwiek słownik. Niezwykłym szacunkiem otaczał słowo drukowane i twórcę. Już jako Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, na pytania dotyczące zawodu odpowiadał: „publicysta” lub „dziennikarz”. Na wet w najtrudniejszych latach powojennych, w natłoku spraw partyjnych i państwowych, w trakcie walki z interwentami i reakcją pamiętał o znaczeniu i roli kultury w budowaniu nowego społeczeństwa.

H. G. Wells, człowiek daleki przecież od marksizmu i sympatii proradzieckich, po powrocie ze Związku Radzieckiego w 1920 roku dawał świadectwo prawdzie: „W tej tak zagadkowej dla nas Rosji, uwikłanej w wojnę, cierpiącej głód i chłód, dotkniętej bezgraniczną nędzą, realizuje się niezmiernie interesujące poczynania z zakresu literatury, będące obecnie nie do pomyslenia w bogatej Anglii i bogatej Ameryce. W ginącej z głodu Rosji setki ludzi pracują nad przekładami, przełożone przez nich książki są niezwłocznie wydawane i są w stanie umożliwić nowej Rosji takie poznanie obcych literatur, jakie jest niedostępne innym narodom”.

Siłą napędową tych poczynień był wielki „kremloński marzyciel”. Czytając wspomnienia bliskich i przyjaciół Lenina zadziwia rozległość jego lektur, przyciąga literaturą piękną. Najwyżej chyba cenil twórczość Puszkina, Lermontowa, Tolstoja i Niekrasowa. Na Syberii doskonalił znajomość niemieckiego czytał w oryginale „Fausta” i wiersze Heinego. W Paryżu, w okresie drugiej emigracji, zachwycał się emigracyjnymi wierszami Wiktora Hugo. Ze współczesnych mu Rosjan najchętniej czytał Gorkiego, Biednego, Erenburga, niektóre wiersze Majakowskiego. Do dziś fascynuje jego pracowitość i wielostronność uzdolnień. Jeden z przyjaciół Lenina napisał: „Był ze wszystkich współczesnych mu wielkich ludzi, najbardziej plastycznym uosobieniem genialności”.

Wedle sformułowań Lenina integralną część rewolucji socjalistycznej stanowi rewolucja kulturalna, która powinna zlikwidować kulturalne upośledzenie mas, uczynić wszystkie zdobycze kultury własnością narodu i stworzyć warunki dla radykalnego podniesienia poziomu kulturalnego

wszystkich obywateli. Zawsze widział i doceniał związki między ustrojem politycznym, a poziomem kultury.

Po ustanowieniu władzy politycznej klasy robotniczej równoległe z zadaniami politycznymi i ekonomicznymi, wyłonili się problemy nowej kultury. Trzeba było geniuszu Lenina, by w ogromie prac dostrzec ten problem i przyznać mu poczesne miejsce. Dostrzegając ściśle powiązania między walką polityczną, walką o byt i walką o nową kulturę, pisał: „Skłonny jestem powiedzieć, że punktem ciężkości, stają się dla nas sprawy krzewienia kultury”. (Dziela t. XXXIII, s. 491). Socjalizm to nie tylko ekonomia — dodawał — socjalizm stawia sobie również ideały humanistyczne.

Niezwykle cennym dokumentem pozwalającym prześledzić stanowisko Lenina wobec problemów kultury i sztuki jest artykuł „Organizacja partyjna a literatura partyjna”, opublikowany 13 listopada 1905 r., w 12 numerze pierwszego legalnego pisma bolszewickiego „Nowaja Zizn”. Różnił się on bardzo od krążących wówczas, bądź rodzących się właśnie teorii estetycznych: irracjonalistycznego strukturalizmu Bergsona, intuicyjnego poznania Crocego, koncepcji Freuda, Macha, Spenglera i Schopenhauera. Był wymierzony przede wszystkim przeciwko tym zasadom, które preferowały sztukę elitarną, przeciwstawiały „górne dziesięć tysięcy” twórców — reszcie, przeciw literaturze kontemplacyjnej, odizolowanej od rzeczywistości.

Przeciwnicy leninowskiej koncepcji literatury partyjnej błędnie interpretowali artykuł, insynuując, iż dotyczył wyłącznie publicystyki, a nie twórczości artystycznej. Tak był odczytywany przez wielu krytyków burżuazyjnych na Zachodzie, choć i u nas podejmowane były podobne próby. Wystarczy jednak uważnie przeczytać tekst leninowski, by stwierdzić, że takie odczytanie jest zawężeniem problematyki. Według Lenina literatura „nie może być sprawą indywidualną, niezależną od ogólnej sprawy proletariackiej... Literatura powinna stać się częścią ogólnej sprawy proletariackiej, „trybem i śrubką” jednego, jednolitego, wielkiego mechanizmu socjaldemokratycznego poruszanego przez całą świadomą awangardę całej klasy robotniczej. Praca literacka powinna stać się częścią składową zorganizowanej, planowej, zjednoczonej socjaldemokratycznej działalności partyjnej”.

Oczywiście artykuł Lenina uwarunkowany konkretną sytuacją polityczną zawierał wytyczne na najbliższą przyszłość, ale wbrew twierdzeniom naszych obecnych przeciwników ideologicznych, przemyslenia i koncepcje Lenina mają zastosowanie i dziś, znajdują pokrycie w skomplikowanych warunkach życia II połowy XX w., jak cała reszta jego nauka.

Jednym z ważniejszych problemów tekstu Lenina jest zagadnienie wolności twórczej, indywidualizmu. Rozprawia się tu z dogmatycznym przeciwstawieniem wolności osobistej twórcy jego odpowiedzialności przed społeczeństwem. Pisał: „...panowie burżuazyjni indywidualiści, musimy wam powiedzieć, że wasze tyrady o absolutnej wolności to obłuda i nic więcej... Czy wolny jest pan od pańskiego burżuazyjnego wydawcy, panie pisarzu? Od pań-

skiej burżuazyjnej publiczności, która żąda od pana pornografii w ramach i obramach, prostytutce jako „uzupełnienia” „świętej” sztuki scenicznej? Przecież tak absolutna wolność jest burżuazyjnym tj. anarchistycznym frazeosem (albowiem anarchizm jako światopogląd jest burżuazyjnością wywróconą na nice). Żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie można. Wolność burżuazyjnego pisarza, malarza, aktorki to tylko zamaskowana (lub obłudnie maskowana) zależność od kiesy, od przepokupstwa, od honorarium”.

Postulując model literatury partyjnej, jako części ogólnoproletariackiej sprawy, Lenin nie tracił pola widzenia zagadnień swobody myśli, inicjatywy osobistej twórców. Żądając twórczości zaangażowanej stwierdzał, że literatura nie nadaje się do „mechanicznego zrównywania, niwelowania”, a twórcy muszą mieć zapewnione swobody „myśli i fantazji”, formy i treści. Planowo kierując rozwojem i konkretyzacją idei partyjności sztuki i literatury, nie można zapominać, że każdy artysta, każdy kto siebie uważa za artystę, ma prawo tworzyć według własnego uznania, według własnego ideału, absolutnie niezależnie od niczego — mówił Lenin w rozmowie z Klara Zetkin. Ale jako komuniści „nie powinniśmy być biernymi widzami i pozwalać na rozwijanie się chaosu w sposób nieskrepowany. Zorganizowany socjalistyczny proletariacki winien ezuwać nad całokształtem tej działalności, kontrolować ją całą... pozbawiając w ten sposób wszelkiego gruntu starodawną, na wół obłomowską, na wół handlarską rosyjską zasadę: pisarz sobie, czytelnik sobie”.

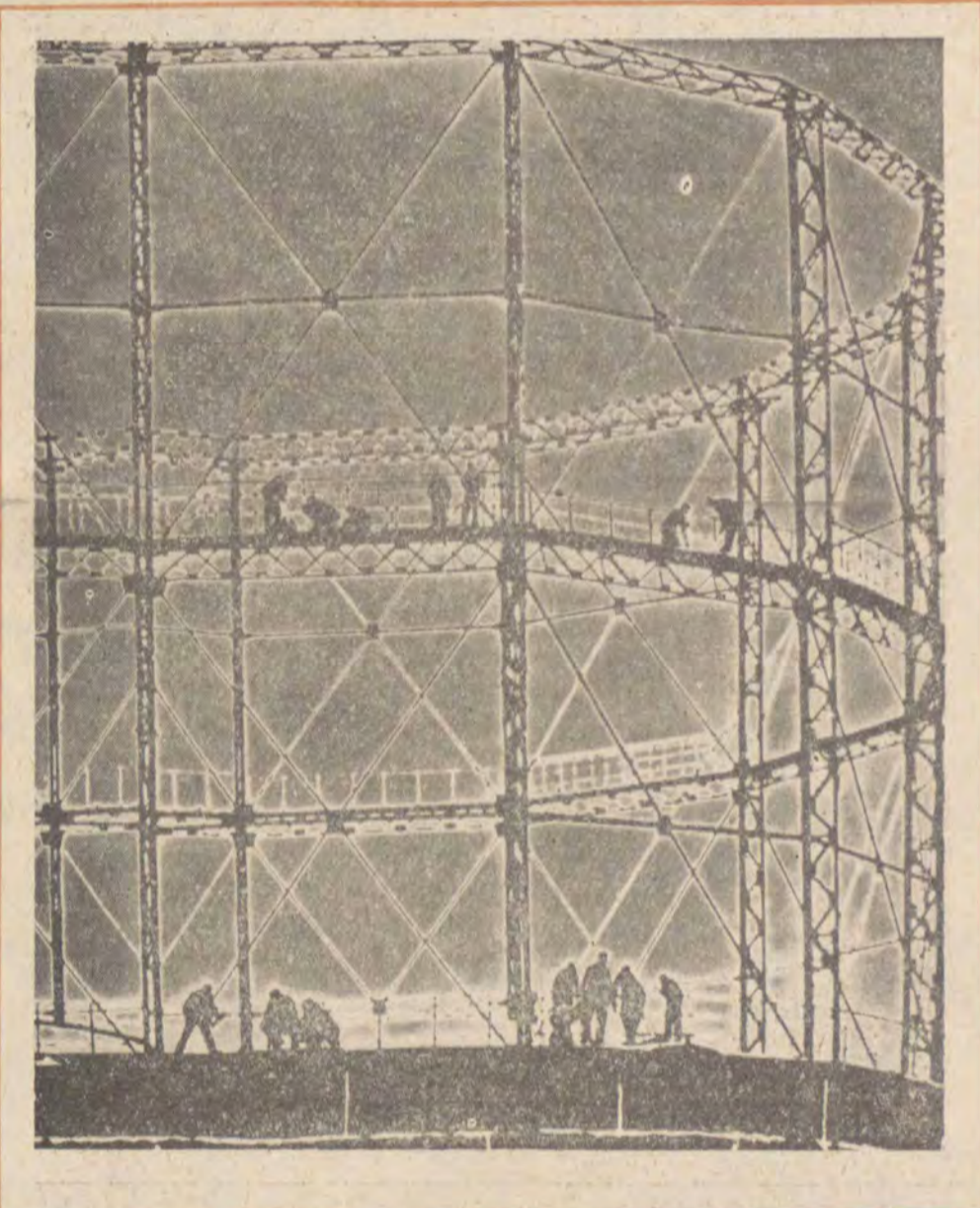
Wiele nieporozumień budził stosunek Lenina do spuścizny kulturalnej przeszłości i do nowych prądów w sztuce. Jeszcze

przed rewolucją pisał, że „komuniści mogą być tylko ten, kto pamięć swą wzbogaci znajomością całego dorobku ludzkości”.

Jego opór budziły rodzące się wówczas idee futurizmu, odrzucające zdobycze i dorobek przeszłości, negujące rolę dziedzictwa kulturalnego. Lenin dobrze wiedział, że upadek, dekadencja świata burżuazyjnego przenosi się na sferę sztuki i literatury. Nie oznaczało to jednak dla niego, że można kwitować wszystkie przejawy i osiągnięcia sztuki burżuazyjnej etykietką „dekadencji” i odcinać się od nich, bowiem zarówno w tej sztuce istniały rzeczywiste, artystyczne sukcesy, jak i w świadomości wielu artystów i pisarzy tamtego świata odbywała się walka między dekadencją a siłami, które jej przeciwdziałają.

Przeglądając się później rozwojowi sztuki radzieckiej Lenin występował przeciw teorii „Proletkultu”. Uważał, że należy zachować to co piękne i nieprzemijające, nie płaszczyć się przed wszelkiego rodzaju nowinkami tylko dlatego, że są nowe i modne. Nie chciał sztuki elitarniej, tworzonej na użytek kilkuset, czy nawet kilku tysięcy jednostek spośród całego narodu, liczącego przecież miliony. Z uznaniem witał każdy przejaw sztuki prawdziwie wielkiej, nowej i socjalistycznej. Sztuka i literatura — mówił Lenin — należą do ludu i powinny tkwić swymi korzeniami w najgłębszych warstwach mas, powinny być dla nich natchnieniem, „jednoczyć uczucia i wolę”.

Wobec pojawiających się ciągle twierdzeń, jakoby każda ideeowość szkodziła prawdziwej sztuce, hasel o odrzuceniu i likwidacji marksistowskiej linii działania kulturalnego, należy wciąż pamiętać o dorobku myśli kulturalnej Lenina.



Szlakiem Bohaterów Walk nad Bzurą

Trzydzieści lat temu — we wrześniu 1939 r. w północnych rejonach naszego województwa, w dolinie Bzury, doszło do największej w tym okresie operacji polskiego wojska, które, cofając się przed napierającymi oddziałami armii hitlerowskiej, stoczyło krwawy bój nad Bzurą.

W bitwie nad Bzurą poległo wielu żołnierzy polskich, których groby znajdują się na cmentarzach w Łęczycy, Modlnej, Tumie i Solcy Wielkiej, pod Goślubem, w Piątku i koło Orłowa.

Dla uczczenia tego bohaterskiego czynu polskiego żołnierza redakcja dwutygodnika „Ziemia Łęczycycka” organizuje od sześciu lat wyścig kolarski „Szlakiem Bohaterów Walk nad Bzurą”, który od trzech lat jest imprezą ogólnopolską. Przed startem zawodnicy

składają wianki kwiatów u stóp Pomnika Bohaterów Walk nad Bzurą w Łęczycy, a następnie przemierzają szlak, liczący około 200 kilometrów, którym we wrześniu 1939 roku maszerowały, tocząc zacięty bój obronny z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, oddziały wojska polskiego. Kolarze przejeżdżają trasę z Łęczycy do Podgębic, Uniejowa, Dębia, Kłodawy, Krośniewic, Kutna, Łowicza, Piątku i z powrotem do Łęczycy, mijając po drodze wiele pobojożywków z tamtego okresu.

Tegoroczny wyścig miał szczególnie podniosły charakter, gdyż przypadł w 30 rocznicę wybuchu II wojny światowej. Był więc manifestacją nie tylko sportową, ale i polityczną, gdyż hasłem jego było: „Nigdy więcej września”, „Nigdy więcej faszyzmu”.

Z. S.

TAŃCZĄCY SKANSEN

Dalszy ciąg ze str. 1

budową tamy i stworzeniem zalewu w dolinie Dunajca. Miłośnicy Tatr szaty darli w miłosnym zapamiętaniu. Wynik? W stroń Czorsztyna, nie wzniesając paniki dają dziś wolno koparki i buldożery.

Co roku o jesiennej porze odbywa się w Zakopanem festiwal folklorystyczny ziem górskich. Miłośnicy góralszczyzny nie mogą uratować miasta, przegrywając z górą, usiłując chociaż tradycję utrzymać, zachować stary śpiew, taniec, muzykę, strój. Sek w tym, że kultura górali choć obrzędowa jeszcze nie skamieniała. Jest żywa, ciągle się rozwija, zmienia, różnicuje. Zjeżdżają na zakopiańską scenę górale z całej Europy. Z Kaukazu i Pirenejów, z Transylwanii i z Lasu Turyni, z gór Węstfali i Bawarii, z czeskich Tatr, Nowego Targu, Starego Dunajca, Łącka, Żywca i Istebnej. Impreza odbywa się prawie pod hasłem „Górale wszystkich krajów łączcie się”. Już za to samo warto przebaczyć Zakopanemu, że istnieje, że zostało odkryte, choć takie ceprom niechętnie. W końcu najgłośniejszy gospodarz zdenerwowałby się, gdyby mu codziennie przez okragły rok walili goście do domu drzwiami i oknami. Nawet gdyby się chętnie dali skubać. Zdzieranie skóry na dłuższą metę też może zużyć.

Przeglądałem się parę dni temu góralskiemu festiwalowi. Rzeczywiście było pięknie. Było na co popatrzeć, czym ucho i oko zachwycić. Przewinęło się przez festiwalową estradę 20 zespołów krajowych, 5 zagranicznych. Ludzie gór potrafią imponować tańcem i śpiewem. Rzecz ciekawa — folklor w górach choć ciągle w rozwoju, dłużej się utrzymuje w starych formach, niż na nizinach. Poza tym temperament górskich nacji jest większy. Nasi górale uchodzą w swych obertanych, zbójnickich i krzesanych za walenie ognistości. Ale przy swych pobratymcach z gór Apuseni czy Dagestanu wydali się uosobie niem spokoju i lenistwa, choreograficznego oczywiście. Pięknie również tańczyli Baskowie, szczególnie taniec szkieletów oraz

taniec szklanki św. Michała. Tyle, że górale francuscy jak zaczęli tańczyć, to nie mogą już skończyć.

Bezkonkurencyjni okazali się w Zakopanem Dagestańczycy. Zdobyli pierwszą nagrodę, „Złotą ciupagę”. W drodze do Polski stłukli się im piękny dzban. Widocznie na szczęście. Ich tańce porwały tutejszą widownię. Co prawda taniec Dżigitów jest dość znany, ale dopiero w wykonaniu prawdziwych Dżigitów czyni on wrażenie. W ubiorze dominuje czerń i srebro oraz biel „skrzydeł na plecach”. Tancerze występowali także w czerwonych i błękitnych czterokieskach ze złotymi kindżałami i patronażami na naboże. Dziewczęta w zwiewnych sukniach koloru brzoskwiń, z białym welonem oraz w starych strojach „kabałaj”. Stroje kobiece Dagestanek były w ogóle największą sensacją na zakopiańskim festiwalu. Stroje „kabałaj” są raczej ekspozycją muzealną choć podobno tam chodzi się w nich na co dzień. Liczą sobie po 300—400 lat. Ostatnio jeden taki strój zakupił od nich Ermitaż, płacąc 28 tys. rubli za sztukę. Dla porównania „wojga” kosztuje 5.600 rubli. Tak więc za jeden dagestański kostium można kupić 5 samochodów. Znajduje się na nim moc przepięknych ozdób z litego srebra. Takie nasze pażenie — tylko trochę ładniejsze. Drobiaz, maksymalna waga samego tylko srebra wynosi 16 kg. I proszę sobie wyobrazić, że Dagestanki jeszcze w tym tańczyły. To jest prawdziwa egzotyka. Dla ścisłości należy dodać, że zespół z Dagestanu był zespołem czysto amatorskim. Tańce, które prezentował są tam tańczone do dziś, to znaczy są tam obecnie modne, modne już od paruset lat. Nasi górale zbójnickiego tańca już tylko na scenie. Może jeszcze gdzieś wysoko w górach juchasi czasem sobie poskaczą, ale to nie jest wcale takie pewne. W wysokie Tatrzy z górali chodzą już tylko przewodnicy i ratownicy GOPR.

Przy okazji parę słów o Dagestanie. Kraj ten uchodzi za oazę ludzi szczęśliwych i

długowiecznych. Ludzie żyją tam do 180 lat. Jest to republika autonomiczna SRR na Kaukazie zamieszkiwana przez 32 narodowości, mówiące zupełnie różnymi językami. Bardziej znani to Awarowie i Kumy, ponadto Lezgi, Dargijczy, Lakowie i inni. Są to ludy przeważnie pasterskie, żyjące w górach, na wysokościach ponad 2 tysiące metrów.

Publiczność zakopiańska przyjmowała Dagestańczyków jak najgoręcej. Zaprezentowali kulturę starą, bogatą i urzekającą swym pięknem. Widok takiej kultury uczy skromności i pokory zaremiejskich, pysznych „nowoczesnych Europejczyków”.

Drugi zespół ludowy, który podbił Zakopane to „Tarina” z Rumunii. Pochodzi z miasta Turda. Historia tego miasta sięga w zamierzchłe wieki. Na terenie dzisiejszej Turdy znajdowała się niegdyś pokaźna twierdza Daków, Potaissa. Zespół zaprezentował na zakopiańskiej scenie tańce z doliny rzeki Someş, oparte na wzorach i motywach z czasów gdy mieszkali tam przodkowie dzisiejszych mieszkańców tej okolicy — Dakowie i starożytni Rzymianie. Układ choreograficzny tańców oparty był na archaicznych wzorach. I oni zadziwili publiczność gracją, wdziękiem, sztykacją, bogactwem układów tanecznych.

Wartość festiwalu zakopiańskiego polega na tym, że większość zespołów tam występujących jest autentyczna, niestylizowana. Zespoły te tkwią głęboko w swej tradycji regionalnej, sięgają do elementów starych, kulturywują je. Zespołami tymi kierują często ludzie bez przygotowania artystycznego. Na scenie śpiewają tak, jak śpiewają w domu. Jeśli tańczą, to nie w balecie, tańczą dla siebie, nie na pokaz. Świetny zespół Bartosia Obrochty z Zakopanego został w ubiegłym roku zdyskwalifikowany tylko dlatego, że zbyt dobrze grał na fujarkę. Fajarka była bowiem fabryczna, a powinna być pasterska. Kryterium artysty na tym festiwalu to autentyczność i oryginalność.

Oczywiście obok zespołów autentycznych występowały także zespoły stylizowane, sprawniejsze, lecz o mniejszej wartości folklorystycznej. Festiwal w Zakopanem to tańczący i śpiewający skansen. Jego celem jest kontynuowanie, podtrzymywanie i zachowywanie tradycji w sztuce ludowej. Kultura ludowa Skalnego Podhala jest bardzo żywa, różnorodna, bogata. Chodzi o to, żeby to bogactwo nie zostało zniwelowane, zniszczone przez agresywną nowoczesność. Tradycja w Tatrach jest silna. Kultura ludowa górali jest częścią kultury narodowej. Chodzi o to by całkiem nie zanikła. Bo, że z czasem zaginie, to nie ulega wątpliwości. Takie jest prawo rozwoju i postępu. Chodzi jednak o to, żeby trochę później, jeszcze nie teraz.

Górale zrzucają portki i zakładają elastyki, zrzucają guziki, kupują ortaliony. I słusznie. Bo w ortalionowych kurtkach lżej po górach chodzić. Wyrzucają z mieszków stare sprzęty, kupują nowe, lekkie, wygodne meble. Inaczej być nie może. Zresztą jak wszyscy ludzie mają prawo do korzystania z przywilejów i dobrodziejstw postępu. Minęły czasy śwarnych, prymitywnych juchasów, co to tylko owce na halach pasali. Owce z Tatr przegnano w Bieszczady. Podhale nie jest rezerwatem, górale nie są Indianami.

Cała rzecz polega na tym, jak pogodzić to nowe ze starym. Kulturę regionalną z kulturą ogólną. Tradycję z postępowaniem. Portki w parzenice ze „spodniem elastycznym”, guzik z ortalionem, zbójnickiego z twistem. To nie jest wcale takie proste. Od dawna ludzie się nad tym głowią. I jak dotąd niewiele wymyślono.

Najgroźniejsza wersja łączenia starego z nowym, to góral z kosą na motorze. Straszliwy widok. Wstrząsający jak rzeźby Hasióra, których sporo w tej górskiej krainie.

KAROL BADZIAK

TERESA WOJCIECHOWSKA

KOCHANKOWIE Z WERONY

Za niespełna miesiąc minie 15 lat od dnia gdy lodzianie otrzymali własną scenę operową. Wiele się już o tamtej pierwszej pisało, o jej trudnych pionierskich warunkach, o roli jaką spełniła dla budowy Teatru Wielkiego, dla uzasadnienia konieczności jego powstania. I znów liczba 15 — Teatr Wielki w ciągu dwu i półletniego istnienia wystąpił z piętnastoma premierami, co świadczy o ambitnej i aktywnej działalności tej sceny.

Ostatnio odbyła się premiera sztuki — „Romeo i Julia” Sergiusza Prokofiewa do opracowanego przez kompozytora i S. Radiowa libretta według tragedii Williama Szekspira. Jest to już trzecia pozycja baletowa w Teatrze Wielkim, co znów — jak na krótki żywot baletu łódzkiego — świadczy o dużych ambicjach. Balet Opery Łódzkiej liczy bowiem tyle lat co Teatr Wielki, poprzednia scena operowa nie dysponowała takim składem baletowym, który mógłby się pokusić o przygotowanie spektaklu baletowego w pełnym tego słowa znaczeniu.

„Romeo i Julia” jest baletem sto sunkowo młodym, bo napisanym w 1936 roku, w dodatku wystawionym cztery lata później, gdyż Moskiewski Teatr Wielki, który zamówił muzykę u Prokofiewa, odrzucił ją i balet doczekał się wystawienia dopiero w 1940 roku w Leningradzkim Teatrze Opery i Baletu, przez znanego choreografa Lawrowskiego. Tę inscenizację przeniósł Lawrowski na scenę moskiewską w 1946 roku. Dziś „Romeo i Julia” należy do najpopularniejszych baletów, wystawianych przez wiele scen operowych, a partię Julii tańczą najznakomitsze tancerki.

Zródła sukcesu tego baletu leżą na pewno w pierwszym rzędzie w pięknej muzyce Prokofiewa, leżą i w popularnym temacie romantycznej miłości najsłynniejszej pary kochanków w świecie, leżą i w zręcznej, przejrzystej konstrukcji libretta świetnie do muzyki przylegającego — wszak kompozytor był współautorem libretta. Ten balet był niejednokrotnie wystawiany na polskich scenach, jest stałą pozycją repertuarową scen baletowych w Moskwie i Leningradzie i wielu z nas tam go widziało, niedawno telewizyjnie mieli okazję oglądać radziecki film baletowy zmontowany z duetów Julii i Romea w wykonaniu solistów Baletu Leningradzkiego. Sama muzyka znana jest z wielu znakomitych nagrań radiowych. Każdej nowej inscenizacji tej pozycji stawia się wysokie wymagania, z zainteresowaniem śledzi nowe propozycje realizatorskie.

Dalszy ciąg na str. 8



Fot. K. Gorazdowska

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

RAPORT Z KOLUSZEK

Nie ma chyba w Polsce pasażera, który by nie przejeżdżał przez to miasto ludzi w granatowych mundurach. Koluszki, jako ważny węzeł kolejowy, umieszczone są na mapach komunikacyjnych nie tylko naszego kraju, ale także niemal wszystkich państw europejskich.

Koluszkowianie dumni są więc ze swego miasta. Dają to do zrozumienia wszystkim, z którymi się stykają: zarówno przybyszom z innych miast polskich, jak i turystom zagranicznym.

Pani Wacława Nadolska, kierowniczka przepięknej biblioteki w Ko-

luszce jest żywą kroniką swego rodzinnego miasta. Zna jego historię, fakty i wydarzenia. Bliscy są jej ludzie, zwłaszcza ci, którzy swoim życiem i działalnością uświetnili i przyczynili się do jego rozwoju. Ma żal do wydawców „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” za to, że Koluszkom poświęcili zaledwie 9 wierszy. Nie wspomnieli ani o herbie miasta kolejarzy, ani o wybitnych ludziach, którzy tu żyli i działali.

Otóż początki Koluszek sięgają XIV wieku. Jako osada Koluszkowi-

ce — powstały jeszcze za czasów Władysława Jagiełły. Należały one ponoć do jednego ze znamienitych rycerzy królewskich. Dzisiejsza nazwa ustaliła się nieco później w początkach XV w. Przez kilka wieków aż do pierwszej połowy XIX stulecia, Koluszki były skromną osadą. Zamieszkiwali ją chłopi i pierwsi osiadli tu rzemieślnicy. O Koluszkach, jako późniejszym ważnym węzle kolejowym, można mówić dopiero pod koniec pierwszej połowy XIX w. W tym czasie została wybudowana linia kolejowa, łącząca Warszawę z Wiedniem. I właśnie w związku z tym, na trasie między miastami Skierniewice i Piotrków Trybunalski, została uruchomiona po raz pierwszy mała podstacja Koluszek. Znaczenie jej wzrosło, zwłaszcza w latach 70-tych ubiegłego wieku, kiedy w Łodzi została wybudowana nowa linia komunikacyjna zwana Fabryczną.

Pani Nadolska należy do tych działaczy, którzy od wielu dziesiątków lat związali się na zawsze

— Tuż po wojnie — opowiada — spotkałam na dworcu w Koluszkach prof. Władysława Strzemińskiego. Namawiał mnie, abym przeniosta się do Łodzi i zapisała do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, w której był wykładowcą. Nie skorzystałam z tej propozycji. Po prostu dlatego, że nie chciałam opuścić rodzinnego miasta. Pozostałam w nim do dziś.

W latach międzywojennych p. Nadolska była jedną z uczennic prof. Strzemińskiego. Znakomity malarz przez szereg lat przebywał w Koluszkach i uczył w miejscowym gimnazjum.

Inną wybitną postacią, którą chlubi się Koluszkowianie, jest autor „Chłopów” Władysław Reymont.

Przez pewien czas pracował tu na stacji jako radiotelegrafista.

P. Irena Skrobisz, zastępca prze-

wodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Koluszkach, znała osobście siostry pisarza — panię: Zaleską i Makowiecką.

— Spędzałam często wakacje na Wolbórze, w miejscowości Jakubów, posiadłości siostrzy Władysława Reymonta. Nazywaliśmy ją także Reymontówką. Była to miejscowość malowniczo położona nad stawem, w pobliżu młyna. Majątek ten siostry pisarza wydzierżawiały niejakiemu p. Grabowskiemu. Pani Zaleska, i Makowiecka wraz z dziećmi przyjeżdżały tu na wakacje. Ja — jako kilkunastoletnia podówczas dziewczynka, przyjaźniłam się z siostrzonicami i siostrzeńcami Władysława Reymonta. Bawiliśmy się razem i rozmawialiśmy często o wielkim pisarzu. Opowiadali mi o swoim wujku, który wtedy był już znanym pisarzem.

W największym stopniu przyczynili się do rozwoju miasta koleja-

Płynie wino grają saksofony

Dalszy ciąg ze str. 1

Miesza się wszystko, przestawia, tasuje. Ktoś z końca sali przechodzi pod okno, ktoś spod okna idzie w koniec sali. Kelnierka łączy stoliki, muzyka kojarzy pary. Nylonowa bluzka ze skórzaną kurtką. Długie, jasne włosy z wygoloną główką. Kwieciścista koszula z bordowym żakietem. Małolat w mini i cwaniaczek z petem.

— Więc dzisiaj rano — mówi do dziewczyny chłopak, który nie ma więcej niż szesnaście — stary dał mi normalnie pięćseta, ale był pijany i na pewno już zdażył zapomnieć, no to jutro znowu mu coś przy pomnę i znowu mi da pięćseta, tak?

— A jak nie da?

— To sam sobie wezmę.

— Matka mi daje tylko dwie stówki na tydzień — żali się dziewczyna.

— To nie masz lekko?

— Skąd! Hanka bierze od starego raz na miesiąc, ale za to pięćset

— Z ciuchami?

— Na ciuchy dostaje osobno.

— Pani zrobi dwa razy Soplicę — mówi chłopak do barmanki.

— Dwa razy Gamza — pokrzykuje z baru inny szczawik.

Koniaki, likiery, torty, mrożona kawa, kanapki z polędwicą, kiełbasa na gorąco — młodzi ludzie w strojnych ubrankach biorą to wszystko lekką rączką, szastając pieniędzmi z miną nowojorskich miliarderów. A potem, na sygnał wyłysiałego gitarzysty, ruszają do tańca.

2

Patrzę na to, słucham i kręci mi się w głowie. Nie dlatego, abym im zazdrościł tej młodości, ciuchów, zawieszonych na piersiach błyskotek, tych pieniędzy, koniaków! (sam, chory na serce, pić nie mogę), tego tańca (tańczyłem tylko raz w życiu jak Polska wygrała w piłkę nożną z Holandią). Ktoś pomyśli, że jestem przeciwny beatowi — ale to nieprawda. Ktoś powie, że na podstawie powierzchownych obserwacji chcę rzucić cień na naszą wspaniałą młodzież, że nie mam prawa do żadnych uogólnień, bo kawiarnia kawiarnia, a dom domem, szkoła szkołą — każde miejsce ma swój odrębny obyczaj.

Zaraz! Nie mam wcale zamiaru przeprowadzać dowodu, że młodzież w ogóle jest zła, zepsuta, że ma ściśle konsumpcyjny stosunek do świata. Chcę natomiast powiedzieć, że jest niesłychanie bogata. Mają na dzinsy, skutery, płyty, kino, tranzystory, wina i likiery. Mają dużo czasu na zabawę i trochę mniej czasu na naukę, ale uczą się za to w luksusowych, wyposażonych we wszelkie sztyki szkoły...

Przypomniałem sobie własną szkołę, tę sprzed piętnastu lat. Rudera, lepka od brudu o ciasnych wilgotnych klasach, gdzie drobni ludzie klebili się gęsto — latem przy oknach, zimą przy piecach. Zidiociały belfer w spodnicy trząskał piórnikami po łapach, ksiądz-katecheta tarmosił za uszy, a jak miała przyjść inspekcja, to gonili nas do mycia czarnych, sekających podług. Woźny snuł się po szkole z dyscypliną w łapie i zachodził od tyłu chłopaków, co na wyszczerbionych ławkach grali w cymbalgaję — to był wówczas mój jedyny szkolny spat — i strzelał precyzyjnie w łydki i wypięte tyłki...

rze. Na 8 tysięcy mieszkańców Kolu-
szek, aż 5 tysięcy stanowią kolejarze
i ich rodziny. Wszędzie spotyka się
tu ludzi w granatowych mundurach.
Oni nadają ton całemu miastu.

Aleksy Gozdek, zawiadowca stacji
Koluszki, mówi o tym zupełnie
serio:

— Trzeba panu wiedzieć, że wła-
śnie my — kolejarze, wywalczyliśmy
Koluśkom prawa miejskie. Walkę
tę rozpoczęliśmy jeszcze w latach
przedwojennych. Nasze starania
zostały uwieńczone pełnym sukcesem
dopiero w Polsce Ludowej po woj-
nie. 20 lat temu — w kwietniu 1949
r., nadano Koluśkom prawa miej-
skie. Chlubimy się naszym herbem,
jedynym w Polsce godłem miasta
kolejarzy. Przedstawia on — kłos
pszenicy, gęsie piórkę i emblemat
ludzi naszego zawodu — skrzydło
stylizowane.

Stacja Koluszki odgrywa ważną
rolę w naszym ruchu komunikacyj-

nym, zarówno krajowym, jak i mię-
dzynarodowym. Ma również wielkie
znaczenie dla naszego przemysłu.
Łączy bowiem Warszawę z zagłę-
biem węglowym.

Dumni są ojcowie miasta z osią-
gnięciem w zakresie komunikacji. Zlik-
widowano wreszcie dworzec kolejowy
na stacji Koluszki, który
przetrwiał dwie wojny światowe. W
jego miejsce wybudowano nowoczes-
ny dworzec. Następnie zelektryfi-
kowano linię kolejową. Przeszły
już kursować tu weteranki —
„ciuchcie”. Miejsce ich zajęły naj-
nowocześniejsze wozy elektryczne.

W zniszczonym przez wojnę mie-
ście, wybudowano w ostatnim
dwudziestoleciu 8 nowych bloków
mieszkalnych oraz 6 bloków spół-
dzielczych. Wiele milionów złotych
przeznaczono na remonty starych
mieszkań. Ale...

Miasto nie posiada w tej chwili
ani jednego locum, w którym mo-



Przypominam sobie, jak się wówczas
młodzi ubierali i bawili. Kto miał waskie
spodnie, buty na gumowych spodach i ze-
garek, liczył się tak, jak dzisiaj gogus z
skuterem. Kto miał wysięgowy rower, tak
jak dzisiaj posiadacz fiata. Do kawiarni
można było popatrzeć sobie przez szybę z
ulicy. O koniaku nawet nie można było
poczytać, bo się wtedy o takich zbytkach
w produkcyjnej literaturze nie pisało. Na
dziewczyny chodziło się do parku, a kwaś-
ne, zbełtane wino piło się ukradkiem w
bramach, paląc w szóstkę jednego papie-
rosa.

Jakby mi ktoś wtedy powiedział, że za
piętnaście lat wejdę sobie do kawiarni w
północnym sektorze roboczego miasta i zo-
baczę smarkaczy z amerykańskimi papie-
rosami w zębach, zamawiających koniak,
tak, jak się kiedyś zamawiało szklanke
gorącego mleka, nigdy bym w to nie uwie-
rzył. Nigdy!

A przecież, jeśli ich popytać, wbrew bu-
nym postawom i pozie stwarzającej pozory,
że na niczym im nie zbywa, mają wiel-
ki żal do świata.

— Chciałbym wyjeżdżać często za granicę — zwierza mi się chłopaczyna w zam-
szowej marynarce, którego rozkleił alko-

hol i rozmarzyła cklwa muzyczka. — Ale
nie z rodziną do Bułgarii, byłem dwa ra-
zy, tylko na Zachód, Rzym, Paryż, Lon-
dyn, albo jeszcze dalej: Nowy Jork... Czy
to moja wina, że mam smykałkę podróżni-
ka? Nie! Ale nikt mi na taki wyjazd nie
da. Mogę sobie najwyżej pomarzyć. Więc
to jest bardzo niesprawiedliwe, że jedni
mogą oblecieć samolotem trzy razy w ty-
godniu cały świat, a inni skazani są na
jedno miasto...

— W Polsce jest dużo fajnych facetów
— mówi nastolatka ubrana od stóp do
głów w barwne pekaowskie szatki.
— Gdybym miała się zakochać, to tylko w
Polaku. Ale za mąż chciałbym wyjść za
Szweda, albo Francuza, bo taki mógłby
mi stworzyć odpowiednie warunki. Nie
musiałabym ani pracować, ani chodzić do
sklepu po zakupy; mieszkałabym w pięk-
nej willi nad morzem, jeździłabym samo-
chodem na weekendy, a jak on by się
uparł na dziecko, to musiałby zorganizować
taką pomoc domową, żeby się nie
potrzebowała o nic kłopotać...

— Mam pretensję do starego, bo on zu-
pełnie nie przejawia inicjatywy i ambicji
— skarży się chłopak, na którego przed
kawiarnią czeka podniszczona wufemka.

Skoro już skończył studia, to mógł iść za
ciosem, przebić się jakoś do przodu, podia-
pać jakiś wyjazd na Zachód. Ciągłe się
przecież widzi, jak wyjeżdżają różni leka-
rze, inżynierowie, technicy. Ich dzieci cho-
dzą do angielskich szkół, uczą się łatwo je-
zyka i mają później ułatwiony start w
życiu. No, ale ja sobie ojca nie wybierałem
i nie moja wina, że on woli ślepczyć w szko-
le nad zabazanymi zeszytami.

— Chciałbym zmienić skuter na samo-
chód.

— Chciałbym, żeby stary sprzedał syren-
kę i kupił wreszcie jakiś przyzwoity wóz.

— Chciałbym, żeby przenieśli ojca do
Warszawy, bo tam są zupełnie inne możli-
wości: więcej lokali rozrywkowych, no i
w ogóle...

— Chciałbym podłapać dziewczynę z
potężnym sarmakiem. Niech by nawet by-
ła brzydka. Mój kolega ożenił się z córką
badylarza i narzeka. Ma niby samochód i
dobre mieszkanie, ale teść trzyma go krótko,
teściowa wszystko wymawia, a żona
nie pozwala mu wyjść samemu na ulicę.
Wie pan dlaczego? Bo on był od początku
za miękki. Ja tam bym nie narzekał. Od
razu rąbnąłbym pięścią w stół, żeby wie-
dział, że sobie nie dam dmuchać w kaszę.

— Moja koleżanka, wyszła za mąż za
starego aktora, który ma na książeczce
dwieście tysięcy. Chodzi teraz błada jak-
by była w ciąży, ale zadowolona. Mówi, że
stary ledwo już zipie. Więc jeszcze rok,
dwa, i może się okazać, że ona nie jest
wcale taka głupia...

3

Mówią o tym wprost, bez żenady, ale
także bez zbytej ostentacji. Są chwilami
przebrażliwie szczerzy, bo żywią niezachwia-
ne przekonanie o słuszności swoich sądów,
Blichtr staje się sensem życia. Dążność do
posiadania — jedyną filozofią. Samochód,
willa, pieniądze — święta trójca w nowym
wydaniu...

Czy ja przypadkiem nie przesadzam?

Czy na pewno jestem sprawiedliwy?

Przecież powinienem wiedzieć, że są w
tym kraju miliony młodych, uczciwych,
pracowitych ludzi, dla których samochód
jest środkiem, a nie celem, pieniądze za-
piątą, a nie darowizną, miłość nagrodą, a
nie towarem... Przecież powinienem wie-
dzieć, że ci, co szwendają się wiewiórami
po lokalach odmierzając czas różnicem pi-
janych orgii — to tylko procent (jaki pro-
cent?), cząstka (może część?) ogółu.

Ale jest to cząstka ekspansywna. Nachal-
na. Zараźliwa. Jednąca sobie z każdym
dniem nowych wyznawców.

Więc kiedy patrzę, jak kręcą się na par-
kietcie, odbijają od baru, krążą między sto-
likami, kiedy słucham, jak mówią do siebie
cwaniacką, wulgarną gwarą — jestem
wściekły.

Nie jeszcze światu nie dał.

Ale chcą od świata — wszystkiego! Pięnię-
dzy od ojca z Polski, samochodu od wujka
z Ameryki. Willi od żony, futra z szyn-
szyli od męża.

W życiu, według ich mniemania, praca
się nie liczy. Trzeba mieć po prostu —
szczęście.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

glaby się zbierać młodzież, kultural-
nie spędzać czas wolny od pracy.
Do niedawna istniała osławiona
świetlica zwana „Betlejem”. Była to
bardzo już sfatygowana szopa, w
której odbywały się występy miej-
scowego zespołu artystów-koleja-
rzy, zabawy, spotkania. Ale ponie-
waż „Betlejem” groziło zawaleniem,
więc zamknięto je.

Rozmawiam o tym z kierowni-
kiem zespołu dramatycznego Zwią-
zku Zawodowego Kolejarzy w Ko-
luśkach p. Wacławem Stasiakiem.
Czuje wielki żal do władz miejscow-
ych za to, że dotychczas nie
rozpoczęto prac nad budową zapo-
wiadanego już od dawna Domu Kul-
tury. Pieniądże na ten cel są. Mi-
nisterstwo Komunikacji przeznaczy-
ło na budowę domu 3 miliony 600
tys. złotych.

P. Stasiak ma żal do miejscowych
władz jeszcze i z tego powodu, że
rozwiązano istniejącą już od dawna
przy zespole dramatycznym orkie-

strę dętą. Apeluje za naszym po-
średnictwem, by przywrócić tę or-
kiestrę. Bez niej nie można sobie
w ogóle wyobrazić istnienia zespołu.

Koluszkowski Zespół Dramatyczny
ZZK ma już za sobą 25 lat pracy
estradowej i scenicznej. Po raz
pierwszy wystąpił ze swoim składa-
nym programem 1 maja 1945 r.
Wtedy jeszcze trwała wojna. Zespół
objechał niemal całą Polskę. Nie ma
województwa, w którym by nie wy-
stępował. Był z przedstawieniami za-
równo w większych miastach, jak
Warszawa, Łódź, Olsztyn, jak i w
mniejszych miasteczkach, a nawet
w zapadłych i głuchych wsiach.
Przez zespół przewinęło się w ciągu
25 lat około 500 amatorów-koleja-
rzy. Niektórzy z nich — seniorzy
mają już poza sobą ok. 1200 wystę-
pów. W repertuarze sztuk wysta-
wionych przez zespół, znajdują się
m. in. dzieła dramaturgów takich
jak Szekspir, Moliere, Gorki, Fredro,
Zapolska, Słowacki.

Mają koluszkowianie jeszcze i in-

ne kłopoty. Nie mają ani wodocią-
gów, ani kanalizacji. Bez pomocy
władz powiatowych, zwłaszcza wo-
jewódzkich, nie rozwiąże tego pro-
blemu mimo najlepszych chęci ani
Prezydium Miejskiej Rady Narodo-
wej, ani pracowności i zapału mieszk-
kańców Koluśzek.

— Sprawa kanalizacji i wodocią-
gów — stwierdza przewodniczący
Komisji Oświaty i Kultury przy
Prezydium Miejskiej Rady Narodo-
wej Stefan Wołoszkiewicz — zależna
jest przed wszystkim od uzbrojenia
terenu. Bez tego nie można mówić
w ogóle o rozwoju naszego miasta,
o uruchomieniu na szerszą skalę
budownictwa mieszkaniowego, bu-
dowie nowych zakładów pracy, o
modernizacji starych istniejących.
Mamy nadzieję, że władze wojew-
ódzkie wpłyną na przyspieszenie
opracowania dokumentacji odnośnie
uzbrojenia naszego terenu i z kolei
przyjdą nam z pomocą materialną.

Mystyk – dziwak czy realista?

Zjawiskiem przeobrażeń człowieka, jego funkcji wobec całej złożoności bytu, skalą jego wyobrażeń o szczęściu, zajmowali się poeci od czasów antycznych po dzisiejsze. Elementarne pojęcia dobra i zła — pięknej budowli i ruiny, są te mattem na przestrzeni wieków literatury światowej. Jednym z niewielu poetów-myślicieli, który dźwignął ciężar tych kolosalnych zagadnień był Cyprian Kamil Norwid. Musimy zdać sobie sprawę, że Norwid reprezentuje tuje wartości intelektualnie po dzień dzisiejszy odkrywcze. Nie zapożyczał myśli od innych jak przykładowo A. Asnyk — umiętny kronikarz swojej epoki.

Norwid stworzył system filozoficzny, który dopiero w naszych czasach znajduje realny wyraz w rekonstruowaniu porządku socjalno-moralnego w świecie. A więc wyprzedzał swoją epokę, w której było „lazurowo i ciemno”. Prowokował przyszłość — nie lekceważąc zagrożenia swojej współczesności — w oparciu o tradycje historii. Historia dla Norwida to nie tylko przeszczerzenie czasu dzielonego przez krwawe wydarzenia — to nie tylko tragedia — to wysnuty z niej zbiór przypowieści i parabol moralnych. Interesowała go o tyle tylko, o ile stawała się wykładnikiem bytu ludzkiego na ziemi. Pisał: „tragedia jest w historii — a w życiu dramatem z komedią”.

Ci, którym lektura Norwida sprawia trudności w przełamaniu bariery językowej, gdzie różnego rodzaju uwarstwienia językowe, skamienienia, często całe formacje geologiczne — ślad ówczesnej miastyki gramatycznej — mogą nieraz wprowadzić w zakłopotanie, niech przyjmą informację, która jest pociechą, że najtęższa głowa wśród romantyków — Zygmunt Krasinski tak się wyraził o poemacie „Quidam” „ani wiersza ni on (Krasinski) ani nikt z obecnych nie rozumiał”. Znamienna ta wypowiedź znajduje doskonałą ripostę w wypowiedzi samego Norwida „Czytanie autorza zależy na wyczytaniu żeń co on tworzył, więcej tem, co pracą wieków na to urosło”. Mamy więc jasno określone credo tej twórczości, której trudność wynika z zamierzenia poetyckiego, w respektowaniu w twórczości olbrzymiej tradycji-łańcucha, ciągu myśli humanistycznej. Norwid pisał świadomie trudnym językiem, tak, jak trudno jest poznać cienkie tkanki prawdy leżące na dnie naszych serc, jak też i trudno poznać istotę energii zawartej w poczynaniach zbiorowych czy też jednostkowych. Wiele lat później Paul Valery

rzuci myśl, jakże słuszną w odniesieniu do Norwida — cyt. „Warto napisać ciemny poemat, aby rozjaśnić idee”.

Atmosfera wszystkich utworów Norwida jest u progu kończącej się nocy i z rania świtu. Światłością przywodzi na myśl Rembrandta. Postacie wynurzają się w półcieniu, mgliste ich zarysy wyrzeźbione chłodem marmurowym — ascezą słowa. Lapidarne sformułowania, którymi dzieli się w rozmowach, zawierają treści znacznie obszerniejsze, parabolizują się w odniesieniach do wielu innych znaczeń. Można więc je przenieść w wymiary odmienne od danej sytuacji w utworze. Pierwsze co zauważymy w tym języku złożonym jak gdyby z brył dzielonych przestrzenią w której słowo wybrzmiewa — to jego „zwykłość”. Niepoetycki to język — szary, odbarwiony od „ślizności i obfityści” romantyków. A przecież do niedawna uważano Norwida za epigona romantyzmu! Nie błędniejszego. Jeżeli chciałoby się uparcie łączyć Norwida z jakąś szkołą to chyba tylko z klasykami, choć i tu jest sprzeczność(!) bo pewną regułą w poezji klasycznej jest możliwie największa odległość od początkowej „myśli” do jej „wyrażenia”. Na tomiasz u Norwida myśl mieści się już „od początku” i w tymże początku się wyraża. Typowe norwidowskie „zabrudzenia” potoczności, zwykłością, niejednokrotnie mieszanie elementów grozy z groteską, to głęboka znajomość jaźni człowieka, płynności nastrojów, wahania i zaskoczenia własnymi uczuciami. Norwid nie wybierał też tematów lub przedmiotów do swoich poetyckich rozważań — przykładem wiersz „Idąc kupić talerz pani M”. I kiedy romantycy szukali dla swojej muzy urokliwych bohaterów czy wątków — Norwid zaznaczał, że nawet drobny, mało widoczny szczegół, może być podniesiony do rangi poetyckiej:

„Szyld, jaśnieje pod pędem
lem i woła ludzi,
Odrzwia cięką farbą...
wszystko piękne” 2)

Jakże trudno było w epoce Norwida — w epoce gdzie śpiewano „krwawo i pożarnie” — znaleźć odbiorców zdolnych dźwignąć od krytycyzmu jego poetyki, umiętność posługiwania się środkami poetyckimi, które w naszych czasach uważa się za nowoczesne... Koła literackie spod znaku „hufana-rębacza” zarzucały poecie zarozumiałość i nieuczciwość, pychę i dziwactwo kwalifikujące do szpitala dla umysłowo chorych. Zwarty front wrogów od Paryża do Krakowa — od Koźmiana, Kłaczki, Mańa, Siemińskiego do St. Tarnowskiego i

jego mniejszych satelitów. A jeszcze gdy po ogłoszeniu „Pieśni społecznej” de mokratyzm poety mocno się zarysował, gdy w „Memoriale o młodej emigracji” zawarł się program wyzwolenia narodowego, a naczelnym postulatem zmianą stosunku do ojczyzny przez właściwie pojęty obojętny związek obywatelski — Norwid traci człowieka dotychczas mu przychylnego a zajmującego niebagatelne miejsce w czołówce poetów — Zygmunta Krasinskiego. Autor „Irydiona”, który jeszcze kilka lat temu pisał do Norwida: „Co ja widzę w mgieł zamrocz, to ty ujrzysz na swe oczy — tyś nie śmierci lup. Jeszcze wleciesz skrzydłym lotem, gdy z trupami ja pokotem leżeć będę trup” — po rozważaniu norwidowskiej idei zbiorowego obowiązku pracy — zaczyna lżyć i hańbić twórcę „Promethidiona”, inspirując szerokie koła swoich przyjaciół 3). Norwid widział wyzwolenie w sposób odmienny od romantyków, nawołując do czynów nie zbrojnych — ale duchowych, poprzez zerwanie z przestarzałymi formami pojmowania roli człowieka w życiu czy też roli naszego narodu w świecie. Do zerwania z mesjanizmem czy panslawizmem drążącymi samouielbienie, fałszywe pojęcie o patriotyzmie objawiającym się w czynach nie przemyślanych, zrywach powstańczych „hurra-patriotycznych” pozabawionych intelektualnego fundamentu, przypadkowości działania prowadzącego do niepotrzebnych wykrwawień. „U nas każdy czyn wychodził za wcześnie, a każda książka za późno” — pouczał współczesnych. Ostrzegł przed możliwością powstania ludowych. Wiedział, że fala rewolucji socjalnej ogarniającej stopniowo całą Europę musi dopaść i Polski. A więc warstwy rządzące nie przygotowane na tę konieczność mogły znaleźć się w sytuacji krytycznej. Rodzimy provincializm zaprzepaszczając zrozumienie prawd rządzących rozwojem społeczeństwa, jego niedozwłone przetworzenia w klasę dyktującą nowoczesność. Norwid pojmował funkcję poety jako działanie w sferze moralnej społeczeństwa; cyt. „poezja która zapomina że ona coś robić powinna, zapomina przez to o zdrowej estetyce”.

24 września br. minęła 148 rocznica urodzin Cypriana Kamila Norwida (urodz. 24. IX. 1821 r.). Z perspektywy czasu oceniając genialną wręcz umiętność przewidzenia czasów obecnych, tak w konkretnej sytuacji narodowej w kraju „przemienionych kolodziejów” gdzie praca stała się ideą najwyższą, miarą rozwoju społeczno-politycznej struktury, jak również w przewidzeniu katastrofizmu zagrażającego ludzkości w wypadku zleżonych zdobyczy cywilizacji, które również może zderzyć terminować przypadek.

Norwidowskie prawdy, które dotarły do nas, stają się dla naszego pokolenia orientacją gdzie tkwią źródła ironii zdarzeń i losu — praw rządzących rzeczywistością — tą, która nas buduje i tą, która może nas zrujnować.

1) J. W. Gomułki. Mała kronika życia i twórczości Cypriana Norwida.

2) Z poematu Norwida „A dano od phrygium”.

3) Listy Z. Krasinskiego do A. Cieszkowskiego wyd. J. Kalenbach.



KONRAD FREJDLICH

Szkice bez portretu

Literatura faktu (relacja naczelnego świadka, gorączkowy zapis reporterski) skutecznie konkuruje z literaturą fikcji. Pierwszą zalicza się najczęściej do publicystyki, drugą nazywa prozą artystyczną, ale wytyczenie precyzyjnej linii demarkacyjnej między tymi gatunkami sprawiła wciąż krytykom niemałą trudność. Coraz częściej też powieściopisarze opuszczają swoje wiedeże stonowienie, aby z notesem reporterskim w rękę zasmakować przygody na szlaku. Nie oparli się tym pokusom także Wacław Bilński, wybitny polski prozator, autor wielu cenionych i nagrodzonych książek. Nie oparł się tym bardziej, że instytucja stypendiów twórczych fundowanych przez władze terenowe umożliwia penetrację różnych zakątków naszego kraju nie opisanych do tej pory piórem pisarzy. Bilński upodobał sobie Działoszyn, niewielką osadę na krańcach województwa łódzkiego, która w ostatnich zwiasach lat zbroiła sporą karierę przemysłową. W ten sposób powstała reportażowa monografia miasteczka, „zwykłego polskiego miasteczka”, jak to dobitnie wyraził autor w zakończeniu książki. Miasteczka, do-

dajmy, którego fizjonomia jawiła się pisarzowi „to jako szła checki portret nagrobny, to znów, mitologizując, pozowała na Sifnksa czy Feniksa”.

Bilński podszedł poważnie do swego zadania: przekopał się przez szereg zapomnianych rączek lub wcale nieznanymi publikacji źródłowych takich choć by jak „Słownik geograficzny” z 1881 roku czy też praca pt. „Miasta, wsie i zamki polskie” z 1881, prowadził na własną rękę poszukiwania w archiwach, wreszcie zdokumentował materiały do zamierzonej przez siebie książki na miejscu, w miasteczku. W rezultacie tej pracy otrzymaliśmy sporych rozmiarów monografię reportażową połączoną z „opisaniem historyczno-statystycznym”, jak to się powiadało w wieku XIX dla określenia tego rodzaju literatury. A jednak, pomimo kunsztownej konstrukcji książki, pomimo precyzyjnej narracyjnej autora, który zrecenzje rozkładał wczelnie emocje spotyka nas niejaki zawód. Miał tego świadomość chyba sam Bilński, skoro nie przez wrodzoną skromność, ale z całym wyrachowaniem nazwał swoją próbę reportażową „Szkicem do portretu”. Jest to bowiem przede wszystkim epitafium czasów minionych, zrekonstruowanych z materiałów szcztkowych i dalece niepełnych, zabrakło natomiast tego, co stanowi istotę reportażu, materiałów z pierwszej ręki, relacji spisywanych na gorąco. Pomimo sporej objętości książki otrzymaliśmy ledwie porcelanowy medalion miasteczka z mocno zatartymi, niewyraźnymi konturami.

Na tym rezultacie zacięły przed wszystkim dość ryzykowne, moim zdaniem, założenia autora, który dążył do uogólnienia starał się przeformować tę typowość Działoszyńską jako „zwykłego polskiego miasteczka”. Można w ten sposób

dojść do prawdy ledwie statystycznych. I tak jest w istocie. Gdy idzie o sumę informacji o miście książka Bilńskiego rzadko wychodzi poza to, co zawiera dziewiętnastowieczny „Słownik geograficzny” z lekką poprawką na wiek XX. Rzeczywistością opisaną w książce rzadziej chronologia niż procesy społeczne. Zbiór luźnych sylwetek ludzkich przedstawionych w monografii nie składa się na żadne społeczne tło. Szczególnie wyraźnie widać to w tych partiach materiału, gdzie Bilński opisuje czasy najnowsze, gdzie operuje konwencją już nie tylko szkicu historyczno-statystycznego, ale właśnie par excellence reportażową. Wielka budowa potraktowana została prawie marginesowo jako kolejne ogniwo w porządku dziejowym w miejsce dawnego, szlacheckiego dworu. I o to mam do autora najwięcej pretensji.

Książka Bilńskiego jest charakterystyczna dla bolączek jakie przeżywa reportaż w Polsce. Czołowi reportażysty coraz częściej uciekają w głęboką historię, albo relacjonują egzotykę odległych kontynentów. Większość naszych czasów wciąż czeka na kronikarza uwrażliwionego na to, co nam przynosi nasz dzień powszedni, dzisiaj. Szkice już nie wystarczą. Czekamy na wyrazisty, pogiębiony portret.

* Wacław Bilński: „Szkice do portretu”, Wydawnictwo Łódzkie 1969, str. 219, nakład 1500 egz., cena zł 12.

KOCHANKOWIE Z WERONY

Dalszy ciąg ze str. 4

Łódzcy realizatorzy*) przyjęli koncepcję widowiskową, właściwą zresztą większości inscenizacji łódzkiego Teatru Wielkiego, który przy zwycaiał nas do widowisk barwnych, pełnych rozmachu, szerokiej przestrzeni, jak na tę wielką nowoczesną scenę przystało. Niestety, widowiskowość rozmach z miejsca ograniczyła tu scenografia. Jerzy Mastowski, debiutujący na scenie Teatru Wielkiego, poświęcający się głównie scenografii telewizyjnej, za budował gęsto scenę werystycznymi dekoracjami, z godną lepszej sprawy troską o detale. Wszystko tam „jak żywe” i „jak prawdziwe”, aż dziwno, że zegar nie bije godzin, a od ołtarza zakonnik nie płynie zapach kadzidła. W rezultacie scena jest zatłoczona, brak jej przestrzeni, odpowiedniego tła dla układów baletowych, które najlepiej przecież prezentują się na szerokiej przestrzeni, w oszczędnej, skrótowej i niezbyt kolorowej dekoracji.

Może właśnie dlatego, wobec ciał snoty na scenie, w nieodpowiedniej oprawie scenograficznej, niektóre układy zbiorowe baletu sprawiają wrażenie nie uporządkowanych, nie co chaotycznych. Nie odważyłabym

się jednak powiedzieć, że winą scenografa jest niedosyt tańca, który wynosi się z tego przedstawienia. To brzmi może paradoksalnie, ale opuszczając teatr odnosi się wrażenie, że w tym balecie za mało było tańca, za dużo chodzenia i pantomimicznego gestu. Witold Borkowski jest znakomitym choreografem, wyjątkowo zasłużonym dla naszego teatru. To jego przecież zasługa, że po dwu i półrocznej pracy balet Teatru Wielkiego wystawia już trzeci pełnospektaklowy balet po „Panu Twardowskim” Różyckiego i „Jeźdźce Łabędzim” Czajkowskiego, że łódzki Teatr Wielki mógł zainicjować w ubiegłym roku Łódzkie Spotkania Baletowe, które będą kontynuowane i mają szansę poważnego rozwoju. Ale wydaje się, że jeden, nawet najbardziej utalentowany artysta nie może na przestrzeni lat sam przygotowywać wszystkich układów tanecznych i że słusze byłoby zapraszanie od czasu do czasu jakiegoś nowego nazwiska dla przygotowania baletu, tak jak się to czyni z reżyserią, scenografią czy muzyką.

Premierowe przedstawienia bywa ją często pechowe. Myślę, że takie

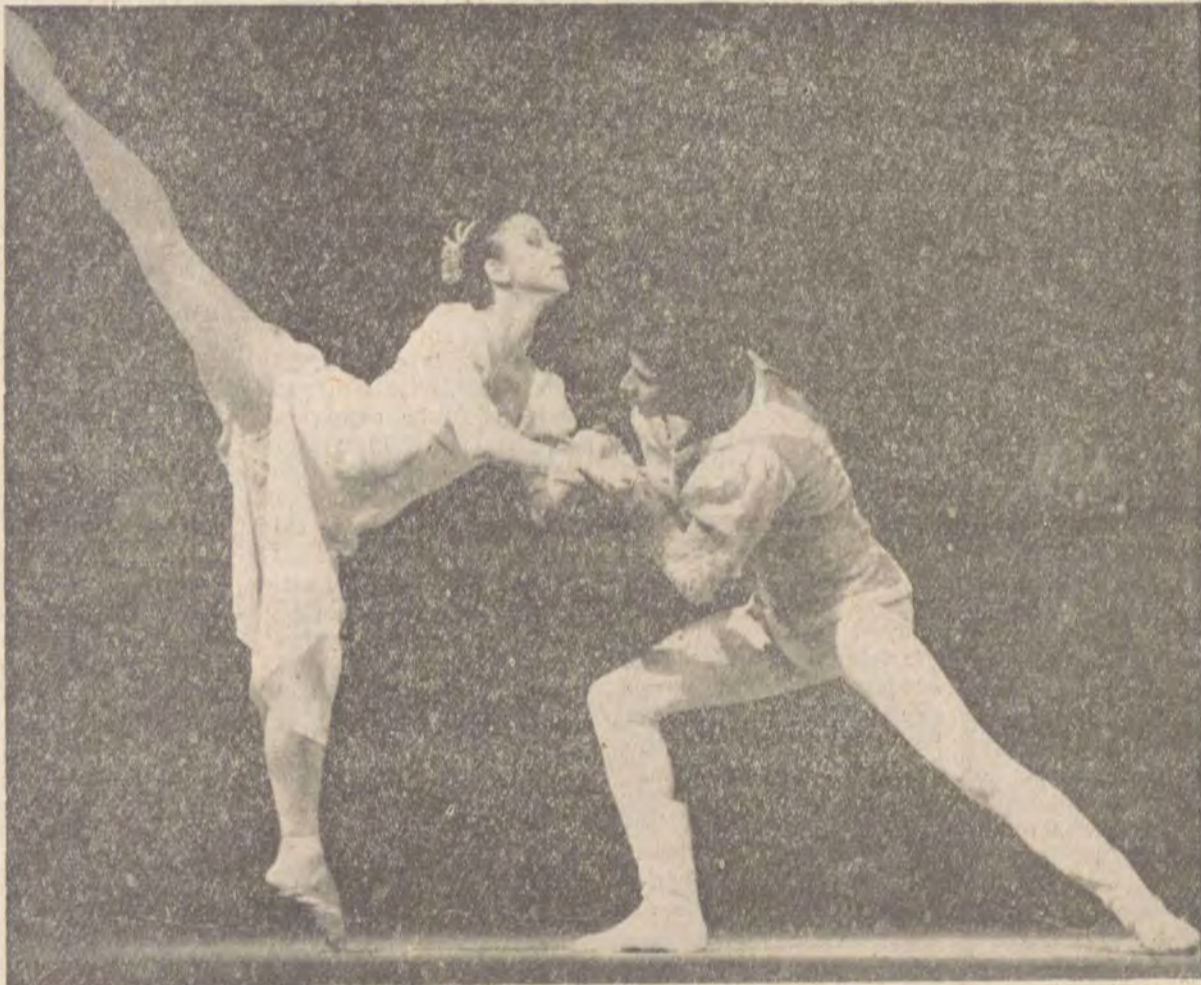
mu premierowemu pechowi uległa orkiestra pod dyktando Zygmunta Latoszewskiego. Zawsze tak starannie przygotowana i czysto grająca, tym razem trochę rozczarowała, ale zapewne była to jednorazowa niedyspozycja.

Nie zawiedli wykonawcy, a przede wszystkim wykonawczyni centralnej postaci baletu. Autentycznie młoda, pełna niekłamanej wdzięku i uroku Iwona Wakowska jako Julia pokazała raz jeszcze, że jest obdarzona nie tylko talentem tanecznym, lecz i aktorskim. Jej Julia była bezbłędna — od wiośnianej dzie wczęcej radości życia po tragizm nieszczęśliwej miłości i śmierci — Wakowska poprowadziła swą Julię szczerze, przekonująco i pięknie.

Jej partnerem jest Eugeniusz Jakubiak — pełen chłopięcego wdzięku Romeo. W pozostałych partiach wystąpili: Krystyna Zalewska (pani Capuletti), Eugeniusz Kowalczyk (pan Capuletti), Janina Niesobka (Tancerka), Kazimierz Knol, (Tybalt), Stanisław Wojt (Merkutio), Bogdan Jankowski (Benvolio) Tadeusz Woliński (Zakonnik) i inni.

TERESA WOJCIECHOWSKA

*) „Romeo i Julia” — Sergiusza Prokofiewa; libretto: S. Radlow, S. Prokofiew. Kierownictwo muzyczne: Zygmunt Latoszewski, Józef Klimanek, choreografia, inscenizacja, reżyseria: Witold Borkowski, scenografia: Jerzy Mastowski, Teatr Wielki w Łodzi. Premiera 13.IX. 1969.



Fot. A. Wach



BRZEZIŃSKIE SPOTKANIA

Ciekawe są to spotkania z dniem wczorajszym i z dniem dzisiejszym ziemi brzezińskiej. Myślę zresztą, że niejedynym regionem łódzkiej ziemi, który zasługuje na tego rodzaju reportersko-historeczną notację. Dobrze się więc stało, że PRN w Brzezinach pomogła Wydawnictwu Łódzkiemu w zrealizowaniu tomu reportaży mówiących o „Powiatowej Polsce”.

Autorzy natomiast wywołać się z kręgu Klubu Młodych Pisarzy przy ZW ZMW — znają więc problemy tej ziemi i potrafią pisać o nich w sposób prawdziwy i czuły.

A oto autorzy: Tadeusz Daszkiewicz, Cezary Jabłoński, Mirosław Mieszczankowski, Marek Złoch, Kazimierz Oleczyk. Reportaż Mieszczankowskiego o węzle kolejowym w Kolu szkła drukowaliby „Ogłoszenia” — pozostałe publikacje znalazły się tu po raz pierwszy.

Książka nie jest jednorodna, ale w tym fakcie upatruję jedną z jej zalet. Obok zapisu prawie statystycznego — sprawozdanie czegoś znajdujemy opowiadanie, obok reportażu, dla rzuć wydarzeń z lat 1939—1945... W sumie ciekawy tom, który zainteresuje nie tylko mieszkańców powiatu brzezińskiego.

J.W.

„Brzezińskie spotkania”, Wyd. Łódzkie 1969.

„GRA BEZ ASÓW CZYLI PORTRET MĘCZYŹNY

„Gra bez asów” Zofii Bystrzyckiej jest portretem mężczyzny, działacza politycznego, któremu sfera spraw publicznych, nie wystarcza. Główny bohater jest jednocześnie naratorem, żądny kariery, wspinający się szczebel po szczeblu urzędniczych awansów. Wierzy w swój intelekt i możliwości zrobienia kariery, a ima się przy tym różnych sposobów. Liczne retrospekcje — sięgające dzie ciństwa i młodości — przypadającej na lata wojny — pozwalają zrozumieć

sylwetkę bohatera. Sprawy ściśle osobiste są dla bohatera bardzo ważne, a jego konflikty uczuciowe splatają się z zawodowymi.

Bystrzycka dała obraz mężczyzny, którego postępowania niejednokrotnie być może czytelnik nie zaakceptuje, ale przynajmniej zapewne będzie musiał czytać telnik autorce dużą znajomość psychiki mężczyzny. Postacie spotkane w książce są nam znane z życia codziennego, a więc jest szef, sekretarka szefa, koleżanki i koledzy z biura, Cała galeria postaci które dla głównego bohatera są partnerami do gry, często-kroć znanymi nam z własnego życia.

Realizm powieści, trafne obserwacje, ciekawe portrety ludzi, to zapewne jedne z wielu walorów za chęć czytania powieści Z. Bystrzyckiej.

M.S.

Z. Bystrzycka — „Gra bez asów”. PIW. Warszawa 1969 r., cena 22 zł.

TRUDNY NIETYPOWY

Już z oceanów atramentu sformulowano tysiące gorzkich słów o tzw. sytuacji w najmłodszej prozie polskiej. Ze wszystko na jedno kopyto, bohatero wie z marginesu lub przed wczesnie podstarzałe „nie udaczmy!”. I że wszystko nudne. Krystian Czerwiński jest chyba inny. Trzeba przynajmniej, że jego pierwsza książka debiutancka*) w jakimś sensie mnie zaskoczyła. Co ją wyróżnia? Chyba przede wszystkim uczucie na bezbronny ból ludzki — istot młodych, starych, albo wielce skrzywdzonych. Druga rzecz to nie spotykany w młodej prozie delikatny, pełen jakiegoś głębokiego przeżycia erotyzm — nie seks, tylko czułość, może trochę „staroświecki” stosunek do kobiety, pełen podziwu i zapamiętania.

Tyle w warstwie fabularnej. Formalnie rzecz charakteryzuje cieniutki dowcip i pewien specyficzny posmak konstrukcji reportażowej.

Za najlepsze opowiadania z tomu debiutanckiego — obok opowiadania tytułowego — uważam: „Skrupul”, „Mezalian” i „Stype”. Jestem zdania, że wyróżnione w konkursie LSW i ZG ZMW „Stemplowanie siwych koni” warto przeczytać.

Dik

*) Krystian Czerwiński, „Stemplowanie siwych koni”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1968, cena 21 zł.

Zawsząd o wszystkim

Spór o Gibraltar

„DIE WELT” — HAMBURG

Na mocy rezolucji Zgromadzenia Ogólnego NZ, w dniu 1 października bieżącego roku Gibraltar ma uzyskać niepodległość. W miarę zbliżania się tego terminu nasilają się wzajemne oskarżenia Hiszpanii i Anglii oraz demonstracje siły wojskowej obu tych państw w rejonie twierdzy gibraltarskiej. Londyn dąży do utrzymania pełnej władzy w Gibraltarze — pod przykrywką „czysto nominalnej” — nie chcąc, bynajmniej, wypuścić z rąk swej najważniejszej bazy wojskowej w tej strefie świata. Madryt widzie spór w imię „narodowego prestiżu”,

domaga się powrotu Gibraltar do macierzy, jednocześnie wyrażając gotowość na przekazanie go w bazę NATO.

„Już wiele miesięcy obywa się Gibraltar bez hiszpańskich „intruzów”. Blisko pięć tysięcy robotników z Hiszpanii — murarzy, tra-garzy, dokerów, pracowników stoczni i stacji benzynowych, piekarzy itp. — nie pracuje na Gibraltarze, ponieważ władze hiszpańskie zamknęły granice.

Zołnierze i marynarze z brytyjskiej bazy wojskowej

sami wypiekają chleb i sami sobie usługują. Przerwa no wiele prac budowlanych. W stoczniach brakuje robotników. Oczywiście katastrofy z tego powodu nie ma.

„Gibraltar pozostanie brytyjski” — głoszą pstry malowane afisze, porozwieszane w witrynach sklepów. Jest ich mnóstwo. Na wielu portret angielskiej królowej, a pod nim symboliczny napis — pierwsze zdanie nowej konstytucji: „Gibraltar — jedno z dominiów Jej Królewskiej Mości... Jego status nigdy nie będzie zmieniony wbrew woli ludności Gibraltar, którą wyraziła ona w sposób nieskrępowany i demokratyczny”. Osiemnaście tysięcy podopiecznych ONZ (Gibraltarczyki — potomkowie Genu-eńczyków — liczą 18 i pół tysiąca ludzi na ogólną liczbę 25 tys. ludzi, zamieszkałych w tej kolonii — red.), jeśli wierzyć Londynowi, „odrzuca roszczenia Hiszpanii”. Oto co powiedział ko-respondentowi „Die Welt” były premier rządu Gibraltaru, sir J. Hasan: „My w ogóle nie chemy żadnej wolności!” Dwa lata temu jego punkt widzenia „podzieliło” w referendum 95 procent mieszkańców Gibraltar. Hiszpanie, Maltańczycy, Włosi, Marokańczycy i Portugalczyki „wyrazili wolę pozostania kolonią brytyjską”...

A wszystko to wbrew zaleceniom komitetu dwudziestu czterech (komitet ONZ, nadzorujący wykonanie deklaracji o udzielaniu niepodległości krajom i narodom kolonialnym — red.), który zażądał od Londynu i Madrytu „zakończenia” dekolonizacji Gibraltar do dnia 1 października 1969 roku, w drodze dwustronnych rozmów.

Co zamierza Madryt?

Hiszpania oczywiście uważa że skałę za swoją, choćby dlatego, iż w przeszłości „skonfiskowali” ją bezprawnie Anglicy. Kiedy wojska angielskie i holenderskie zdobyły Gibraltar dla Hiszpanii, dowodzący nimi zdradziecki admirał zatknął na

skale podstępnie flagę brytyjską, zamiast hiszpańskiej. Wojna o hiszpańskie sukcesje, w której zwyciężył francuski pretendent do tronu Filip (Anglia przeszła na stronę Francji) zmusiła wy-czerpaną Hiszpanię do podpisania w roku 1714 pokoju w Utrechcie.

Politykę „robili” wówczas admirałowie. Po swojemu też troszczyli się o bezpieczeństwo dróg morskich. Po nieważ po zdobyciu Gibraltar pozostał na nim tylko jeden ksiądz i dziesięciu mieszkańców — reszta uciekła, lub została wysiedlona siłą przez wojska, które przewaliły się przez ten teren wiele razy — ONZ uznała Gibraltar za integralną część Hiszpanii, nie tylko pod względem terytorialnym, lecz również etnicznym. Rdzenna ludność osiedliła się w sąsiednim mieście San-Rocke, natomiast napływową ludność „importowano” do Gibraltar z Wielkiej Brytanii i wykorzystano ją do obsługi angielskiej bazy wojskowej.

Takie argumenty wysuwa Hiszpania i uznaje je za słuszne ONZ. ONZ uważa również za nieważne referendum, które w roku 1967 przeprowadzili na Gibraltarze Brytyjczycy.

Od momentu zdobycia Gibraltar przez Anglików przetrwał on z górą dziesięć obłążeń. Obłążeniem jest i to, co się tam dzieje dzisiaj z tą tylko różnicą, iż odpowiada w formie naszym czasom.

Co będzie dalej, po zamknięciu granic z tej i z tamtej strony?

Wspomniany już sir Hasan odpowiada: „Oczywiście władze hiszpańskie na tym nie poprzestaną. Być może nie zechcą przepuścić naszej poczty, odłączą linie telefoniczne i telegraficzne. Trzeba będzie wówczas nawiazać i utrzymywać łączność z lądem, przez Marokko przy pomocy... helikopterów”...

W zatoce, nie dalej, niż 200 metrów od wciskającej się w nią betonowego pa-są startowego lotniska, znajduje się mała wysępka dla

LAS, KOBIETA I INNI



Pod kosmatymi od lasów wzgórzami przysiadło miasto — siedziba władz powiatowych i kilku znanych w kraju fabryk oraz nietypowego nadleśnictwa, które sprawuje pieczę nad drzewostanem dwu powiatów. Nietypowe, bo położone na skraju miasta, gdzie ulica staje się już podmiejską, ruchliwą szosą. Od stacji przeszło 4 km. Rozrzucone wzdłuż szosy domki trudno nazwać miastem, ale nie można ich zaliczyć także do wsi. Na horyzoncie owe kosmate wzgórze.

Przyjechałam tu, gdy minęła godzina 15. Skończyło się urzędowanie i w nadleśnictwie było pusto. Tylko koło zielonego pikapu krzątał się kierowca. Podrzucił do domu nadleśniczego, a po drodze, aby gościowi nie nudziło się, uraczył opowieścią. — Teraz to dobrze, bo nie ma Asa. Wyżeł już zestarzał się, ledwie zipie. Miała kiedyś bestia we łbie zegarek. Tylko minie 15.00, nikogo do nadleśnictwa nie wpuszcza. Zdarzało się, że i pracownikom spodnie podari.

1.

Pociąg z Krakowa włókł się powoli. Nudziło się wszystkim, więc każdy mówił co mu tylko przyszło do głowy. Ktoś widział „Polowanie na muchy” i przestrzegał przed panowaniem rozgadanych bab. — Bo najgorzej to dać babie władzę — zauważył nieśmiało mężczyzna, wciśnięty

w kąt przedziału przez horyzontową małżonkę.

— E, tam, nie przesadzajmy — zbagatelizował pasażer, którego twarz ozdabiał pływający wąs — nami też rządzi kobieta, a przecież na naszą starą nie narzekamy.

— To znaczy na kogo — zainteresował się siwy z fajką.

— Na nadleśniczego — wyjaśnił wąsаты — panią magister, która rządzi nami już od 9 lat. Między sobą nazywamy ją starą. Nawet o tym nie wiedziała. Pytali ją kiedyś inspektorzy, czy wie, jak ją pracownicy nazywają. Powiedziała, że pani inżynier, albo pani magister. Ale tak między sobą — nalegali inspektorzy. Tak samo — mówiła nadleśniczka. Wtedy wezwali mnie i zapytali, jak mówimy na szefową. Powiedziała — stara. No i okazało się, że nasza stara przegrała zakład. Ale jak pracownicy mówią na szefa stary lub stara, to to jest tylko dowodem uznania.

Zainteresowała mnie ta opowieść i oto znalazłam się w powiatowym mieście Debicy. Na szczęście leży na trasie mojej służbowej do Rzeszowa podróży. Przerwa będzie niewielka, a pokusa ogromna. Nie mogłam jej oprzeć się i nie poznałam mgra inż. Olgi Bogusz.

2.

— Miałam zostać matematykiem — opowiada inż. Olga Bogusz. — Na uniwersyteckim dziedzińcu zobaczyłam leśników.

Zapytałam ich, czy kobiety też przyjmują na studia na tym wydziale. Powiedzieli, że tak. Pobiegłam do dziekana, ale on tylko głową pokiwał. Nic z tego. Trzeba by z każdym profesorem osobno rozmawiać, czy zgodzi się, bo to już wszystkie miejsca obsadzone. Dobrze — powiedziałam, mu na to — pochodzę i porozmawiam z każdym osobno. Sporo czasu kosztowało to chodzenie. Profesorowie jednak nie oponowali. W końcu miałam niezbędne podpisy i pobiegłam do dziekana. Znowu pokiwał głową, ale tym razem z uznaniem. Tak zostałam studentką na wydziale leśnym. Nie były to łatwe studia. Było nas dwie na roku. Każdy profesor nim zaczął wykład patrzył, czy jesteśmy. Bo od nas zależało, czy będzie mówił: „proszę państwa” czy „proszę panów”. Byłyśmy zawsze i mu siłyśmy dobrze umieć.

Dlaczego zostałam leśniczką? Kocham las. Zawsze mnie pociągał. Wprawdzie nie wiele brakowało, a zostałabym spikerką w poznańskiej rozgłośni radiowej, ale przeraziło mnie to, że miałam nie tylko czytać przed mikrofonem, ale jeździć na wieś i pomagać w zakładaniu spółdzielni. Nie bardzo wiedziałam jak to się robi i na dodatek to wszystko niewiele miało wspólnego z lasem. Zaraz po studiach poszłam pracować w lesie.

Swoją leśniczą karierę zaczęłam w Białym Zdroju, na Ziemiach Zachodnich. Byłam leśniczką, adiunktem i nadleśniczką. Pierwszym moim nadleśnictwem była Lipa w województwie lubelskim. Od 9 lat jestem w Debicy.

3.

Nadleśnictwo w Debicy sprawuje pieczę nad obszarem lasów, wynoszącym 5 tys. hektarów. Są to lasy rozrzucone po górach znajdujących się w dwu powiatach: ropczyckim i debickim. W nadleśnictwie pracuje 7 osób. Leśnictw jest 6, ale leśników — 8, gajowych — 13, a robotników — 50. W sezonie jest ich jeszcze 200. O wszystkich trzeba wiedzieć, decydować, odpowiadać. Na początku nie było łatwo. Wszyscy patrzyli i myśleli: przyszła baba, zaczęła się babskie rządy. Trzeba było bardzo uważać i do każdego znaleźć inną metodę. Przede wszystkim kadra. Laik myśli — leśnictwo dobry zawód, lekka praca. Tymczasem to fałszywy pogląd. Praca w lesie jest trudna i ciężka. W Nadleśnictwie Debica trzeba ścinać rocznie 23 tys. m sześć. drzewa. Lasy rozrzucone po wzgórzach, trudno dostępne, trzeba wszędzie dojść piechotą. Wiele czynności wykonuje się jeszcze ręcznie. Wprawdzie i tu wkraza mechanizacja, ale nie jest to najmocniejsza strona leśnictwa.

O las trzeba dbać, lasu trzeba pilnować. Kiedy inż. Bogusz zaczęła sprawować rządy w Nadleśnictwie Debica było tu 19 gajowych. Dziś jest ich 13. Nie ma kto pilnować lasu, bo gajowci muszą kierować pracami leśnymi. Pilnować prac w szkółkach, na wyrębach. Nic więc dziwnego, że w tym czasie znika drzewo z lasu. Nie ma też zbyt wielu chętnych na leśne posady. Wśród laików panuje przekonanie, że życie leśnika to istny raj. Całymi dniami polowania, myśliwskie bigosy i myśliwska wódka, setki znajomych, goście, bale i uroczystości, a w jesienne, słotne wieczory brydż.

Powszedni dzień leśnika nie ma z tym nic wspólnego. Leśnik często nie zna pojęcia urlopu. Wstaje wcześnie, wykonuje najpilniejsze prace we własnym gospodarstwie i jedzie w las. Dziś już nie jedździ się bryczkami. Dziś po leśnych ścieżkach rozlega się warkot motocykli, a dubeltówki najczęściej spoczywają zamknięte w szafach. Leśnicy mają swoje zawodowe choroby. Obecnie prowadzi się akcje ciepłych posiłków dla pracujących na wyrębach. Rano robotnicy zabierają z sobą do lasu termosy pełne ciepłej zupy. Dziś jest tak,

ale przez lata poprzednie brało się do torby kawał chleba z masłem i mięsem, butelkę zimnej herbaty. Nic więc dziwnego, że powszechnie są tu choroby żołądka i dwunastnicy.

Leśnicy poza tym — o paradoksie — chorują na... płuca i serce. Nerwice i tu zawędrowały, zdarzają się leśnikom zawały, choć mogłoby się wydawać, że las daje tyle tlenu i spokoju. Las daje też wilgoć, a ta sprzyja przeziębieniom i reumatyzmom. Dziś doszła nowa choroba — wirusowa. Chorują na nią robotnicy obsługujący piły mechaniczne.

Jest przecież coś, co dodaje uroku leśnym ludziom, co decyduje o ich postawie, wpływa na charakter. To jest wynik obcowania z przyrodą. Przez lata wykształcił się określony styl życia. Wprawdzie wśród czesne leśniczków mają w większości elektryczność, wodę, są wygodne i dobrze zagospodarowane, ale na ich wnętrzach las wywarł piętno, są podobne do siebie dzięki podobieństwu ozdób, wyposażenia. To pozwala znosić liczne kłopoty i trudności. Obcowanie z lasem rodzi u miłośników tego skrawka kraju, na którym być może nie przyszło się na świat, ale na którym przyszło pracować. Rodzi przywiązanie do regionu, dbałość o jego autentyczność, umiłowanie tradycji. W jednym z leśnictw jadłam obiady. Był doskonały. Leśniczcy z dumą opowiadali, że w jego domu podaje się wyśmienite potrawy przyrządzane według starych receptur. Okazało się, że służy tu jeszcze stara, gdzieś z XVIII wieku pochodząca księżka kucharska.

4.

Leśniczcy musi dbać nie tylko o drzewa, ale i o to, co żyje między drzewami. Walczy z kłusownikami, chroni las przed szkodnikami. Jest częścią władzy. Ludzie myślą: leśniczcy ma od państwa mundur, bezpłatne drzewo i inne deputaty. Dużo pracuje — to prawda, ale jego praca jest mna, łatwiejsza. I tak powstaje kontrola i ingerencja wiejskiej społeczności. Jeśli leśniczcy stoi nieugięty na straży państwowego dobra, jeśli skutecznie zwalcza kłusowników, kieruje sprawy do kolegium za kradzież drzewa, za złą gospodarkę w prywatnych lasach, to płyną na niego donosy i anonimy. Mimo to dla leśnika rozstanie się z lasem jest tragedią.

Inż. Olga Bogusz niedługo będzie obchodziła 20 lat pracy zawodowej w lesie. Kiedy przyszła do Debicy pracowała tu wielu leśników, którzy wkrótce odeszli na emeryturę. Widziała, jak trudno było im odejść z lasu. Wielu z nich jeszcze dziś ma jakieś drobne zajęcia w leśnictwach, służą swoją wiedzą i pomocą młodszym kolegom. Chodzi po prostu o to, żeby nie utracili kontaktu z lasem. Dla niektórych równałoby się to śmierci.

Dwadzieścia lat pracy w lesie — mówi inż. Olga Bogusz — na wszystkich stanowiskach. Wkrótce i dla mnie przyjdzie moment rozstania z lasem, który tak dobrze poznałam i umiłowalam. Nie myślę jeszcze o tym, jeszcze mam czas, ale dom pobudowałam na wsi, za Debicą, pod lasem. Kiedy już będę na emeryturze, będę miała niedaleko do lasu, będę chodziła tam na spacer, będę patrzyła jak rośnie i zmienia się mój las.

Pojechalibyśmy do wielkiej leśnej szkółki, gdzie rosną drzewa na miejskie skwery i parki. Widziałam, jak ludzie stawali, zatrzymywali nadleśniczego, prosili o radę, mówili o swoich kłopotach. Jest zatem szacunek i uznanie dla niełatwej pracy, uznanie autorytetu, wiedzy i doświadczenia. Dom pod lasem nie znaczy, że ludziom lasów obce są sprawy wsi i jej ludzi. Dom pod lasem, to nie „moja chata z kraju” — nie wyraz obojętności i izolacji, a właśnie ścisłego związku z tą ziemią, na której przyszło pracować, z jej ludźmi i ich sprawami.

gości 800 i szerokości 200 metrów. Ona właśnie jest przedmiotem szczególnie kontrowersyjnych brytyjskich i hiszpańskich rozstrzeżeń terytorialnych. Na owej wysepce może dojść do lokalnej konfrontacji sił, co z kolei byłoby pretekstem skargi Madrytu do Rady Bezpieczeństwa.

„Gibraltar” jest martwym miastem” — pisze jedna z gazet hiszpańskich. Anglicy jednak ironicznie traktują takie napaści. Wierzą, że i tym razem uda im się „utrzymać” Gibraltar.

— „Wielka Brytania może mieć pretensje, ale nie ma tu żadnych praw; zgodnie z traktatem utrechckim na Gibraltarze nie obowiązują przeciw prawa brytyjskie” — powiedział mi pewien specjalista prawa międzynarodowego z hiszpańskiego ministerstwa spraw wojskowych. — Podpisany układ pozostawia brytyjskiej koronie jedynie prawo do użytkowania portu.

Hiszpania nie uznaje we wewnętrznych drogach morskich, co gwarantuje konwencja

genewska o żegludzie morskiej w zatokach należących jednocześnie do dwóch państw, ponieważ „zgodnie z postanowieniami traktatu

Miasto monstrum

„AUSTRALIAN” — SYDNEY

„Nowy Jork nie jest już taki, jaki był niegdyś” — powiedział Rene Henri, najznakomitszy fryzjer z Sydney. Henri nieraz był w tym największym mieście świata, ale ostatni jego pobyt tam wywarł na nim tak silne wrażenie, że postanowił opisać je w liście do swych australijskich klientów.

Stany Zjednoczone są jedynym krajem na świecie, w którym z zadziwiającą wprost zrzecznością potrafią wyłudzić od ludzi pieniądze — pisze Henri. Jeżeli, na przykład, przejazd taksówką kosztuje 75—80 centów, to trzeba do tego jeszcze dolożyć — obowiązkowo — 20 centów napiwku. Skromna przekąska — sandwicz i kawa — kosztuje dwa dolary... plus

utrechckiego Gibraltar nie jest terytorium suwerennym”.

I październik już blisko...

25 centów napiwku. Spróbujcie dać mniej, spojrzą na was, jakbyście przed chwilą kogoś zamordowali. Odnoszę wrażenie, że napiwki są tu równoznaczne z zębraniną.

Kiedy w Nowym Jorku spędziłem kilka dni, nieustannie narażeni na beceremonialne potrącanie na ulicach, na brutalne zachowanie kierowców taksówek i autobusów i kiedy wreszcie zobaczyłem na własne oczy slumsy i biedne dzielnice tego miasta — zmieniłem swoje wyobrażenie o Ameryce.

Jeśli wstąpiłiscie do sklepu, żeby dokonać jakiegoś drobnego zakupu, resztę wydadzą wam z takim grymasem na twarzy, jakby chcieli powiedzieć: „Po co tu w ogóle przyszedłeś?”

Kiedyś zwróciłem się na ulicy do trzech policjantów z prośbą o wskazanie drogi do muzeum sztuki nowoczesnej. Odesłali mnie do czwartego i ten wreszcie udzielił mi wskazówek, ale nie omieszkał wyrazić swego niezadowolonia, że zwróciłem się do niego z tak blachą sprawą. Gdy znalazłem się w muzeum, byłem zaskoczony, widząc od razu na wstępie, całą galerię pornograficznych rysunków.

W Waszyngtonie, w dzielnicy, w której mieszkałem, przez cały dzień dyżurowali policjanci. Aie i w tym, zdawałoby się strzeżonym rejonie nie gwarantowano mi bezpieczeństwa.

Każdego dnia, w Nowym Jorku średnio siedem banków pada ofiarą bandyckich napadów rabunkowych. Nie słychać wówczas ani alarmowych syren, ani strzałów policyjnych. Nie robi się tu bowiem niczego, co mogłoby przestraszyć klientów danego banku. Oni muszą być przekonani, że ich pieniądze znajdują się w bezpiecznym miejscu...”

Sto lat Kanalu Sueskiego

„DOCK AND HARBOUR OSORITY” — KAIR

Czy Kanał Sueski ma perspektywy rozwoju? Takie pytanie zadają sobie eksperci żeglugi morskiej we wszystkich krajach świata. Jest ono tym bardziej aktualne, iż 17 listopada bieżącego roku minie sto lat od chwili oddania kanału do eksploatacji. Niektórzy specjaliści sądzą, że już w roku 1972 kanał utraci swoje znaczenie. Uzasadniają to tym, iż 75 proc. przepływających przez niego statków sianowia zbiornikowce naftowe o wyporności 200 tys. słycej ton, które dziś ustępują już miejsca superzbiornikom o wyporności 500 tys. ton. Głębokie zanurzenie uniemożliwi im przepłynięcie kanału, który ma mniej niż 20 m głębokości, podczas gdy głębokość Kanału Sueskiego wynosi 11,6 metra.

W nadziei na szybkie uruchomienie żeglugi po kanale, jego władze utrzymują na służbie 13 tysięcy robotników i pracowników administracji, wypłacając im pełne wynagrodzenie. Obliczono, że prace związane z oczyszczeniem tej drogi morskiej będą kosztować 8 mln funtów szterlingów i zajmą około trzech miesięcy.

Od momentu zamknięcia kanału po napaści Izraela na ZRA w roku 67, jego administracja nie siedziała z założonymi rękami. Gdzie tylko było można, prowadzono walkę z zamuleniem.

Duże środki pieniężne przeznaczono na pogłębienie kanału, aby umożliwić żeglugę po nim zbiornikowcom o wyporności do 250 tys. ton.

Zawszgd o wszystkim

Przeszłość i terażniejszość

Jestem pod świeżym wrażeniem lektury wojennych wspomnień kapelanów wojskowych, opublikowanych nie dawno przez wydawnictwo „Caritas”. Pamiętniki z obłożonej w 1939 r. Warszawy, z radzieckiej i polskiej partyzantki, z pracy w Związku Patriotów Polskich, z I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, z Oki i spod Lenina, z bojowego szlaku na Berlin, z I Warszawskiej Brygady Kawalerii, IX Brygady Artylerii Przeciwpancernej II Armii WP, VI Brygady Saperskiej II Armii WP, spod Budziszyna i Drezna, Kolobrzegu i Berlina. Życiorysy nieschematyczne, jak nieschematyczne były losy wszystkich, których wojna rozdzieliła po świecie i którzy na różnych frontach walczyli o tę ich jedyną, wspólną ojczyznę — o Polskę. Wikary z zapadłej polskiej wsi cudem uratował się z więzienia w Baranowie. Trafia do partyzantki. „Dziadzia Wasia, dowódca Wasilewcow, przygarnął mnie chętnie do swego oddziału, nazwanego później Brygadą im. Lenina” — wspomina ks. ppłk Wilhelm Kubsz. Uczestniczy w akcjach bojowych. Nie zapomina o obowiązkach duchownego. Którejś nocy w maju 1943 r. wzywają go do dowódcy brygady. W kilka dni później był już w Głównym Sztabie Partyzanckim w Moskwie. Wreszcie Sielce nad Oką i nadzwyczajne przyjęcie przez dowództwo I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Te wspomnienia mówią wie- le. Koniec 1944 r. V Brygada Artylerii Ciężkiej na linii frontu. „O godz. 24 rozpoczęła się w lesie, w wypożyczonych od dywizji radzieckiej i zamienionej na kaplicę świetlicy — pasterka. Świetlica, chociaż obszerne, nie może pomieścić wszystkich wojskowych, bo oprócz artylerzystów przybyło wielu żołnierzy z sąsiednich jednostek” Lipiec 1944 r. w innej jednostce. „Tego dnia płk Skugarewski obchodził 25-lecie służby w Armii Czerwonej i rocznicę służby w Wojsku Polskim. Z tej okazji urządził wielkie przyjęcie (...). Wszyscy bawili się dobrze, kielichy krążyły gęsto. W pewnej chwili zabrał głos płk Skugarewski i zwracając się do mnie powiedział: „Księżo, dość długo pracujemy razem, nie było między nami najmniejszego nieporozumienia, a przecież — wy książko, a ja komunisto, czy możemy się pocałować? — Ależ naturalnie odpowiedziałem pan jest człowiekiem i ja też walczyliśmy o wspólną sprawę łączącą nas liczne więzy — i wśród ogólnego aplau-

zu wycalowali się jak rodzeni bracia”. Później w wywołanej już Polsce: kapelan jednostki w Jarosławiu w drodze na nabożeństwo został pochwycony przez bandę. — „Złaż z konia, ty komunisto w sutannie. Zabrać mu broń i mundur, zaprowadzić do lasu i rozstrzelać. Niech ginie zdrajca. — Rozpinam spokojnie płaszcz i mundur. — Strzelaj, jak masz sumienie, nie boję się umierać, gdyż wiem, że mam słuszną przemoc. — Odeszli. Wróciłem do pułku”.

I jeszcze raz wspomnienia. Opowiada kapelan I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki: „Przyszedł dzień 12 października, dzień, który pozostanie już na zawsze w historii Ludowego Wojska Polskiego. Poszli, jak huragan, parli naprzód, raz po raz ciężko padając na ziemię. Byłem wtedy wraz z nimi, błogosławiłem walczących, kołem umierających, znakiem krzyża wskazywałem jedyną drogę do wolności, drugim do zmartwychwstania. Lenino — z nim wiążę się moje najgłębsze przeżycia z okresu minionej wojny”.

W naszych dziejach współczesnych nie wszystko układało się gładko, nie brakło konfliktów i nieporozumień. Te pamiętniki dokumentują niewielki, mało znany, ale ważki przecież wycinek niedawnej naszej przeszłości. Ale świadczą przecież nie tylko o tamtych dniach.

Przed kilkoma miesiącami głośno było o pewnym artykule paryskiej „Kultury”, w którym autor bardzo niewybrednie w formie zaatakował przyjeżdżających z kraju duchownych, za to, że nie chcą się włączyć do walki z „reżimem”, że nie dają świadectwa „prawdy” — tej wolnoeuropejskiej i kulturalnej. Paszkwił ten spotkał się z poważną i godną odpowiedzią adresatów, którzy wystosowali ostre pisma, jasno określając w nich swoją postawę jako lojalnych obywateli Polski Ludowej czasowo pełniących obowiązki na obczyźnie. To dziś, tamto wtedy. Ale między tymi postawami jest przecież ścisła więź, której nie sposób nie zauważyć. Wiążą to optymistyczna dla nas wszystkich — niewierzących i wierzących. Razem budujemy tę Polskę, tę — nie inną.

JÓZEF GRZELAK

*) Wspomnienia wojenne księży kapelanów, pod red. ks. płk. Juliana Humńskiego, Generalnego Dziekana WP, Warszawa 1967, Wydawnictwo Caritas, str. 244.

OBIEKTYW

Podpalenie bez motywu

Młody człowiek podpala miasto. Stare, zaniedbane miasteczko. Gdy wokół niego buszują płomienie, wdrapuje się na słup telegraficzny, by na jego szczyście zawiesić płótno z namalowaną przez siebie wizją przyszłości, lub — jak on je nazywa — błękitnego miasta. Dodac należy, że młody człowiek jest studentem architektury.

Taka mniej więcej jest sytuacja wyjściowa noweli Aleksego Tołstoja „Błękitne miasta”, którą Teatr Telewizji Krakowskiej zaadaptował i zrealizował 12 września. Adaptacje opowiadań lub powieści stanowią nieprzebrane źródło tekstów dla teatru TV. Dla sukcesu artystycznego ważne jest jednak, by wybór prozy literackiej był trafny i by zabieg dramatyczny dobrze przystąpił się projektowanemu widowisku.

Chcąc ocenić krakowskie „Błękitne miasta”, skupić się należy właśnie na adaptacji tekstu. Opowiadanie Tołstoja stanowi z pewnością przykład dobrej literatury zrodzonej w określonej sytuacji historycznej. Chodzi o lata dwudzieste w Związku Radzieckim. Zakończyła się walka zbrojna z kontrrewolucją, trzeba było wielki i udręczony kraj odbudować i przekształcić w uprzemysłowane mocarstwo. W tych trudnych procesach odporność psychiczną niektórych jednostek zawodziła.

Takim przykładem jest bohater „Błękitnych miast” Wasilij Bużeninow. Całym sercem zaangażował się po stronie rewolucji, gromił jej wrogów z karabinem w rękę, ale gdy życie zaczęło się normalizować, nie potrafił się przystosować do zmienionych warunków. Okazało się, że często łatwiej jest szarżować wśród gradu kul, niż znaleźć właściwą linię postępowania w szarej codzienności, tak często odbiegającej od śmiałych młodzieńczych marzeń.

Bolesne zderzenie postawy Bużeninowa, pełnej entuzjazmu dla budowy nowego ustroju i niecierpliwości — z twardą rzeczywistością, to pierwszy etap rozczarowania i tragedii bohatera „Błękitnych miast”. Drugi etap, nakładający się zresztą w czasie na ten pierwszy, to zawód, jaki Bużeninowi zgotowała kobieta, którą pokochał.

Z tych dwóch elementów składa się u Tołstoja motywacja gwałtownych czynów młodego adepta architektury, które wiodły go na ławę sądową. W końcowych partiach opowiadania Bużeninow działa jakby opanowany

amokiem. Chwilami traci świadomość tego, co czyni, po- pada w stany jakiejś epileptycznej nieobecności i absolutnego braku kontroli nad swymi czynami.

Autorzy adaptacji telewizyjnej „Błękitnych miast” — Maciej Szybiński i Irena Wollen (ta ostatnia — reżyser widowiska) w niezrozumiały sposób starali się zawrzeć całość postępowania Bużeninowa w normie psychicznej. Dlatego starali się stuszczać wpływ nieszczęśliwej jego miłości do Nadii na gwałtowne postępkę. Adaptacja pomija w związku z tym fakt zabójstwa przez Bużeninowa urodziła Utiowkina.

Adaptacja telewizyjna nie musi, oczywiście, ściśle trzymać się oryginału literackiego. Odmienność struktury literackiej od struktury sztuki widowiskowej usprawiedliwia często bardzo poważne odstępstwa adaptacji od pierwowzoru. Uważam jednak, że w wypadku „Błękitnych miast” odstępstwo zaciążyło negatywnie na widowisku. Spalenie miasteczka przez Bużeninowa staje się czymś niemal karykaturalnym, nie mieszczącym się w żadnym sensownym umotywowaniu. Narastanie w Bużeninowie obłądzonego protestu przeciw osaczeniu go rzeczywistością nie zostało w adaptacji konsekwentnie przeprowadzone. Widz czuje się finałem tragedii zaskoczony i nie przekonany.

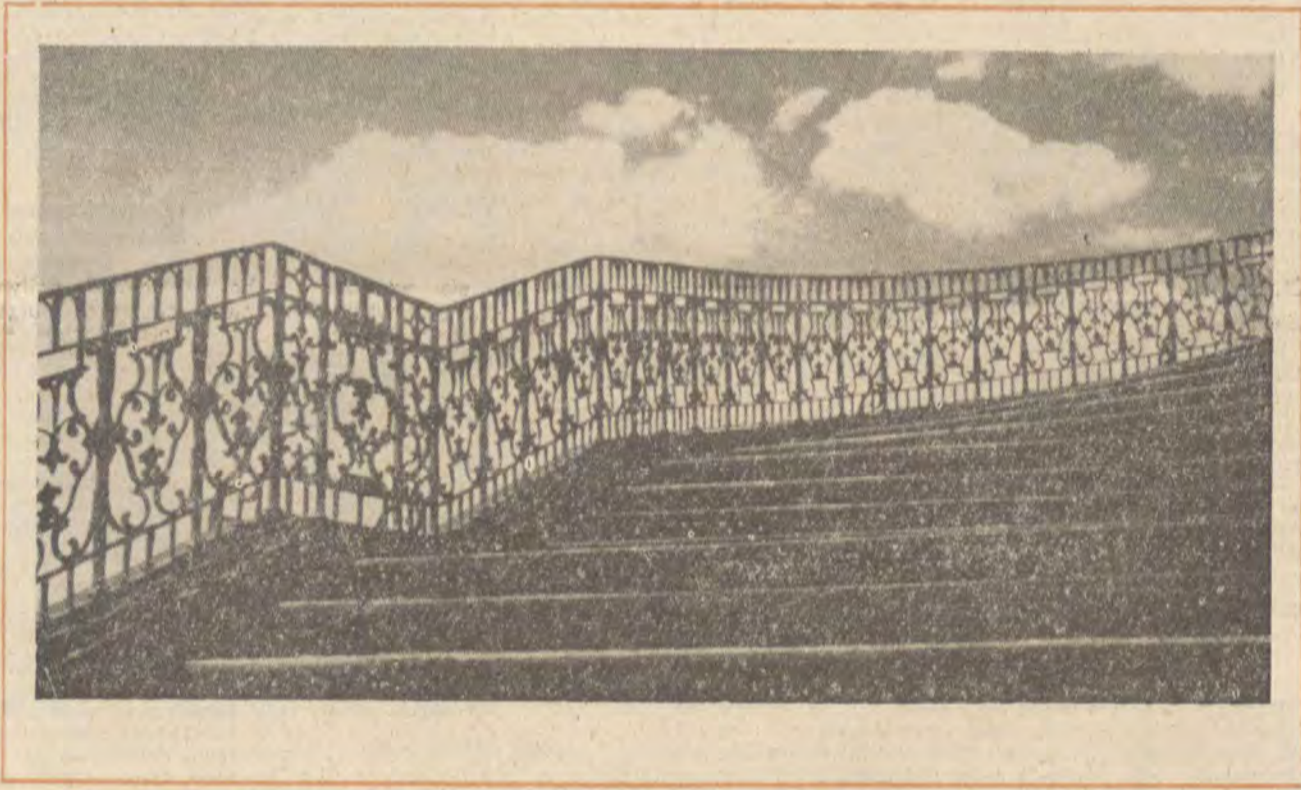
Wpływa na to również niewłaściwe prowadzenie aktorów przez reżysera. Zygmunt Malanowicz jako odtwórca roli Bużeninowa nie operuje chyba właściwym podtekstem. Gra rolę zbudowanego, nie pogodzonego z otoczeniem młodzieńca. A to chyba za mało, by usprawiedliwić desperacki czyn Bużeninowa. Malanowicz nie akcentuje wyraźnie uczucia Bużeninowa do Nadii.

Nadciął Anna Polony tworzy z niej postać od początku do końca odrażającą. Tym samym widzowi trudno jest uwierzyć, że Bużeninow może kochać się w takiej kreaturze. U Tołstoja postać ta nie jest do gruntu zepsuta. Nadia jest raczej pusta i lekkomyślna niż zdeprawowana. W takiej dziewczynie mógł się Bużeninow zadurzyć, a potem idealizując ją sobie, rozkochać do szaleństwa.

Tak więc adaptacja krakowska zwichnęła w dużej mierze sens opowiadania Tołstoja. Złożona psychologicznie tkan- kę noweli zredukowała do doktrynalnego problemu postaw. Z tych przyczyn akt podpalenia jest nie umotywowany i widz nie bardzo wie, jaki ostateczny sąd wyprowadzić z dramatu Bużeninowa.

Nieudolnościom adaptacyjnym towarzyszyła niedoskonałość realizacji. Nie przemyślane przejścia od śledztwa do retrospekcji przyczyniały się do pogłębienia wątpliwości, jakie u widza budziła fabuła widowiska.

Władysław Gronow



O FILMACH DOBRZE I ŹLE



W spokoju, bez szumu towarzyszącego realizacji niemal każdego nowego polskiego filmu panowie Stanisław Grochowiak i Stanisław Lenartowicz przygotowali polskiej publiczności film-nie spodziankę. „CZERWONE I ZŁOTE” jest bowiem filmem niecodziennym — ze względu na temat, ze względu na klimat.

Bohaterowie to ludzie starzy. W świecie, w którym żyją rządzą czas, który się jakby zatrzymał, stąd niezwykła sceneria i nastrój filmu. Moglibyśmy sta-

wiać twórców „Czerwonego i Złotego” zarzut, iż powołali do życia świat, którego nie ma, a ucieleśniony w nierealnym miasteczku i ludziach w nim bytujących. Grochowiak i Lenartowicz prowadzą swą poetycką opowieść o starości, dokonali jej pełnej niemal izolacji. Znakiem innych czasów są gremialne wyjazdy młodych do szkół i pracy i ich krótkie powroty. Gdy młodzi wyjeżdżają, miasteczko, w którym żyją nasi bohaterowie zastyga. leży na uboczu spraw współczesności, staje się miastem ludzi starych.

W ten sposób twórcy wysuwają na plan pierwszy ludzi, którzy zazwyczaj stanowią tylko tło dla najróżniejszych spraw bohaterów dojrzałych i młodych. Można by z twórcami filmu dyskutować czy ich studium starości jest pełne, gdy brak jest jej konfrontacji z życiem aktywnym. Trudno jednakże w kategoriach pełnego realizmu rozpatrywać ten film. Prawa i przywileje poezji wyciskają na nim swe indywidualne piętno zbyt silnie, wyrywając broń z ręki. W filmie dominuje poetycka zaduma nad losem ludzkim, niezmiennym w swych ostatecznych sprawach. A zresztą, kto wie czy starość sama nie wybiera tej izolacji. W końcu, przedstawiona w „Czerwonym i złotym” opowieść o niej,

jest tylko wyobrażeniem poety i reżysera, młodych jeszcze ludzi. A przyznać trzeba, że wyobrażenie to jest pełne ciepła, serdeczności, szacunku i wiary w człowieka.

Stanisław Grochowiak kontynuuje w „Czerwonym i złotym” temat podjęty wcześniej w swej znakomitej sztuce telewizyjnej „Chłopcy”, do filmu wprowadził nawet jedną z tamtych postaci — majora Pożarskiego.

W „Chłopcach” dominowała nuta starości gorzkiej, w „Czerwonym i złotym” odnajdujemy szansę starości pogodnej. Oba utwory łączy jednak ten sam motyw — poszukiwanie i odnajdywanie w sobie poczucia godności przez umiejscowienie się i znalezienie dla siebie miejsca w rzeczywistości danej nam przez życie i przemijający czas.

Film Grochowiaka i Lenartowicza jest opowieścią o potrzebie miłości i przyjaźni, na które się czeka całe życie, które potrafią przywrócić radość i sens życia nawet u jego schyłku. „Czerwone i złote” jest przykładem znakomitego odczytania intencji pisarza przez reżysera filmowego. Pełne nieklamanej poezji i nastroju obrazy, oraz bezbłędna inscenizacja scenariuszowych sytuacji tworzą ciepły, serdeczny klimat tej opowieści o, ostatniej, potrzebnej miłości-przyjaźni.

Może tylko w ostatniej, polntowej sekcji wypadł Lenartowicz z przyciszonego tonu narracji. Warto również podkreślić, że tak świetnie brzmiących dialogów dawnośmy z polskiego ekranu nie słyszeli, a podają je, nawet w epizodach świetni aktorzy (Dzwonkowski, Mroźewski, Karczewski i inni). Znana z ekranu, jak się okazuje, dość jednostronnie, Jadwiga Chojnacka ukazała w tym filmie całą pełnię swego dramatycznego talentu.

W czasach, gdy tak rzadko ogląda się filmy przemawiające ciepłem i wiarą w człowieka i jego szare życie, „Czerwone i złote” Grochowiaka i Lenartowicza przyjmuje się z prawdziwym wzruszeniem.

Węgry, realizatorzy filmu „ALFA ROMEO I JULIA” wynaleźli sposób na ponurych recenzentów. Robiąc oko do publiczności, poprzez narratora zwrócili się do nich z pytaniem czy ich film jest komedią. Skokietowany w ten sposób recenzent może oczywiście dać tylko twierdzącą odpowiedź. Nie skłamię na pewno, bo sam się również śmiał, obserwując perypetie uroczej pani dok-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

tor, przystojnego a zakochanego w niej pacjenta i przemiłego psa. Perypetie wynikały z problemów, wobec których pacjent pani doktor stanął w dobie transplantacji najprzeróżniejszych organów człowieka i psiego ciała.

Perypetie to niegroźne, a że romansowe, więc sercu mile, choć przynajmniej ba, że od czasu do czasu twórcy filmu niebezpiecznie balansowali na granicy dobrego smaku i dowcipu, co ośmiela się odnotować nawet nie tak bardzo po nury recenzenci.

Choć „Alfa, Romeo i Julia” zgodnie z intencjami realizatorów jest dość znośną komedią, smutek od czasu do czasu musi nas przejmować. Powód jest na pozór tylko biały. Nasuwa się bowiem pytanie czemu nasi reżyserzy nie umieją tak do końca i zupełnie wykorzystywać talentu polskich aktorów. Czemu czarująca, wiecznie młoda Węgierka Ewa Rutkay tak często i tak dobrze może grywać w filmie, a nieodparcie przypominająca ją wiekiem, talentem, urodą i temperamentem Danutę Szafarską możemy oglądać tak rzadko i w dodatku tylko w czasie wycieczek do teatru warszawskiego.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrepcje



Autoportret Rembrandta? Znaczący nie są tego pewni.

ILE JEST PŁÓCIEN REMBRANDTA?

300-lecie śmierci wielkiego malarza holenderskiego Rembrandta van Rijn (1606-1669), wiele krajów uczel wystawami jego płócien. Obecnie otwarta została wystawa w Rijksmuseum w Amsterdamie, w mieście dokąd malarz przejechał w roku 1632 z rodzinnej Lejdy. W Amsterdamie właśnie, gdzie przebywał do końca swego życia, Rembrandt rozpoczął swą karierę malarzską i zdobył uznanie i życiowe sukcesy.

Wystawy rembrandtowskie otwarte będą jeszcze w tym roku i w innych krajach m. in. w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Kanadzie itd.

Uroczystości rocznicowe zwróciły też bardziej niż

kiedykolwiek uwagę, na ciągły spór naukowców i miłośników sztuki o to ile właściwie mamy na świecie dzieł Rembrandta. Katalog sporządzony przez niemieckiego uczonego Wilhelma R. Valentiner z roku 1923 podawał 711 autentycznych dzieł holenderskiego mistrza. Holender Abraham Bredius podał w roku 1935 liczbę 630, zaś Niemiec Kurt Bauch doliczył się w roku 1966 zaledwie pięćset sześćdziesięciu dwóch autentycznych dzieł. Tak więc liczba płócien rembrandtowskich, uchodzących bezspornie za dzieła samego mistrza, wciąż małe pomimo, że od czasu do czasu słyszy się, że tu i ówdzie odnaleziono obrazy holenderskiego mistrza. I tak np. w tym roku odkryto cztery płótna Rembrandta po jednym w Ostendzie, Montpellier, Malmö i w Sprenglingen.

Ustalenie jednak autentyczności obrazów Rembrandta jest bardzo trudne. Stosunkowo łatwo jest wykryć zwykłe fałszerstwo i uczyńnym nie o fałszyfikatorze tu chodzi. Wiele malarzy, współczesnych Rembrandtowi, nieraz bardzo utalentowanych naśladowców go. Ponadto — wbrew rozpowszechnionej legendzie o samotycznym i pędzonym w ubóstwie życiu — Rembrandt miał sporą grupę uczniów. Niektórzy uczeni doliczyli się ich ponad trzydziestu, inni skłonni są przypuszczać, że było ich aż sześćdziesięciu. Uczniowie ci często krocili imitowali dzieła mistrza, kopiowali je lub sporządzali warianty, albo malowali na podstawie szkiców Rembrandta. Bywało także, że jakieś szczegóły portretu malował mistrz, resztę zaś wykonywali uczniowie. Zdarzało się, że bardziej udane płótna swych zdolnych uczniów mistrz podpisywał własnoręcznie choć sam tych obrazów nie malował.

Spór jednak o to czy Rembrandt namalował na jakimś portrecie tylko wąsy i brodę, a resztę wykonał jego uczeń czy też namalował cały obraz, widzi i miłośnik sztuki Rembrandta pozostawia wybitnym specjalistom, sam zaś chce podziwiać arcydzieła jakimi są nawet obrazy będące przedmiotem owego sporu między naukowcami.

ZYWA EDITH PIAF

„Ma sœur Edith...”, „Moja siostra Edith...” — tak się zaczyna pasjonująca lektura, wspomnienia pisane przez Simone Bertheaut o jej przyrodniej siostrze Edith Gassion, która

później stała się słynną piosenkarką paryską — Edith Piaf.

Pamiętnik Simony ma się ukazać jeszcze w tym miesiącu jako gruba, 500-stronicowa książka w jednym z paryskich wydawnictw. Na razie jej fragmenty drukuje tygodnik „L'Express”, a jest to opowieść przejmująca bezpośredniością, szczerością i pasją pisarską.

Simone pisze o swej siostrze tak jak ją widziała przez wiele lat będąc jej towarzyszką życia, przyjaciółką i powiernicą. Dzięki wspomnieniom Simony, Edith staje przed naszymi oczami żywa ze swą niepohamowaną wiernością, indywidualnością, talentem. Impulsywna, przeżywa głęboko triumfy i klęski, miłość i miłość, tragedie i niebywale sukcesy. Edith Piaf zaczęła swą karierę jako kilkunastoletnia dziewczyna, gdy bosko śpiewała na ulicach dla przygodnych przechodniów. Zmarła u szczytu sławy. W tym co pisze o niej Simone jest coś, co jak zaznacza „L'Express”, zarazem patetycznego i zabawnego choćby jak przygoda w pociągu, o której opowiada autorka wspomnień. Oto pewnego razu Edith Piaf ze swą przyrodnią siostrą jedzie na występy do Nicei. W pociągu spotykają pięknego chłopca. Oczarowana jego urodą Edith zakochuje się z miejsca. Młody człowiek ujmuje jej dłoń, Edith ufnie opiera głowę na jego ramieniu. Gdy ów mężczyzna wychodzi na papierosa na korytarz Edith zwraca się do Simone, że jest w młodym człowieku dziko zakochana i że nie opuści go nigdy. Dojeżdżają do Marsylii. Mężczyzna ma tu wysiąść. „Pocałuj mnie” — prosi Edith. Całują się. Pociąg przystaje. Ukochany wysiada. Lecz co to? Dziewczeta widzą, że do owego mężczyzny podbiegają dwaj policjanci i zaciągają mu kajdanki na ręce. Był to prawdopodobnie poszukiwany przestępca. „Spojrzałam na Edith — pisze Simone — była blada, miała usta otwarte jak do krzyku.”

Po powrocie z Nicei do Paryża Edith opowiedziała swemu impresario przygodę w pociągu, a ten, napisał o tym wiersz i melodię. Tak powstała słynna „Paris-Mediterranee”, piosenka, która zdobyła olbrzymi sukces. Tragiczne są dzieje wielkiej miłośki Piaf do znanego boksera francuskiego, jakimś czas mistrza świata, Marcela Cerdana. Pewnego razu wezwany przez Edith telefonicznie, wsiał na terytorium do samolotu by z Nowego Jorku przylecieć do Paryża. Piaf nigdy już go nie zobaczyła. Cerdan zginął w katastrofie samolotowej. Edith przeżyła to strasznie.

W październiku 1963 roku schorowana Piaf umiera. 14 tysięcy ludzi, przyjaciół i wielbicieli jej talentu odprowadza Edith na miejsce ostatniego spoczynku.

„BRATERSTWO ŚWIATOWE I POKÓJ PRZEZ POEZJĘ”

W Manili największym mieście i porcie Filipin, na wyspie Luzon odbędzie się pierwszy światowy Kongres Poetów. Przybyć

ma tu dziewięćdziesięciu dwóch poetów z różnych krajów m. in. z Filipin, ZSRR, Hong-Kongu, Nowej Zelandii, Australii. Kongres obradować ma pod hasłem „Braterstwo światowe i pokój przez poezję”.

WIELKI MUSIC-HALL Z LENINGRADU W PARYŻU

W Paryżu gości Wielki Music-hall z Leningradu. Spektakle w „Olimpiu”, gdzie występuje 60 artystów — tancerzy, śpiewaków i akrobatów, cieszą się wielkim zainteresowaniem i uznaniami paryskiej publiczności.

NOWA KSIĄŻKA PILHESA

Miłośnicy literatury francuskiej znajdą tłumaczoną u nas pierwszą książkę młodego autora Rene Victora Pilhesa, wyróżnioną Prix Medicis w roku 1963, pt. „Rabarbar”. Obecnie ukazała się w Paryżu druga powieść tego autora pt. „Le Loum”. Należy ona do typowych powieści psychologicznych.

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	spektakli widzów proc.	
„Kniaź Igor”,	2	2526 100
„Così fan Tutte”,	1	1260 100
„Romeo i Julia”,	1	1260 100
„Tosca”,	1	1260 100
„Zemsta nietoperza”,	1	1260 100
NOWY		
„Życie jest snem”,	3	2100 100
„Dłóż do ciebie przyjdź nie mogę”,	1	700 100
NOWY		
Mała Sala		
„Mał i żona”,	1	200 100
„Kaprysta”,	2	400 100
POWSZECHNY		
„Radziwiłł Panie Kochanku”,	3	1800 80
„Kawior i kaszanka”,	1	500 80
„Czarna komedia”,	2	600 50
JARACZA		
„Ballada o tamtych dniach”,	6	3025 80
7.15		
„Sądzi wdowa”,	6	2526 100
OPERETKA		
„Hrabina Marica”,	6	5183 77
FILHARMONIA		
Koncerty symfoniczne	2	1400 100

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

MUZEUUM TEATRU

OWOCE ZAKAZANE — SETKI FOTOGRAFII — KIM BYŁA PANI CZESŁAWA — ZIELONY BILET — CO REKLAMUJE MISS POLONIA — AFISZE SPRZED 100 LAT

Pan Henryk Kosiński wyklada na stół swoje skarby — foty aktorów, programy teatralne, afisze, książki. Na razie jestem jedynym zwiedzającym to przywatne muzeum — kto wie, może kiedyś, a może już niedługo to fantastyczne wprost zbiory znajdą się w prawdziwym muzeum teatralnym? Muzeum o jakim myśli się właśnie w Łodzi...

Na razie jednak zagłębio ny w foteli czytając książkę sprzed lat bez mała czterdziestu... „Poradnik dla teatrów amatorskich” Michała Majerskiego poucza: „Nawet i bardzo silne i zasobne zespoły amatorskie nie powinny sięgać po owoce zakazane jakimi dla sceny amatorskiej są z małymi wyjątkami dramaty, sztuki symboliczne lub skrajnie modernistyczne...”

Szkoda, że „Poradnik” nie nazywa po imieniu „owoców zakazanych” — za to proponuje arcy cieka-

wą listę 75 sztuk szczególnie pożądanych na amator skich scenach. Czegóż tam nie ma! Jest „Adam i Ewa” krotoczwila ze śpiewami w 2 odsłonach, jest L. Anczyca „Błądząc opęta ny” w 1 akcie ze śpiewami, jest komedia P. Kolo-dzieja pt. „Chelwy dwa ra zy trać!” — w 2 aktach ze śpiewami... W dwu aktach czyli na każdy akt przypada jedna „strata” chciwego. Jest wreszcie nieśmier telny „Żyd w beczce” — wodewil w 1 akcie ze śpiewami i tańcami napisany przez A. Zółkowskiego.

Zamykam „Poradnik” — tracąc myślką dokument minionej epoki, bo oto pan Kosiński podsuwa mi ster ty fotosów. Setki zdjęć aktorów i to nie byle jakich — Osterwa, Jaracz, Solski, Węgrzyn, słynny niegdyś tenor Dobosz, portrecik Mieczysława Karłowicza... Słynna przed pół wiekiem aktorka Antonina Podgórska na fotografiach Atelier

Rubens („a Posen, Wilhelmplatz”)

Mnogość rzeczy, teatralne archiwum, ślady przeszłości ulotne i papierowe a jednak jakże cenne — przeniesione poprzez pożogi największych wojen przez panią Czesławę Wolniewiczównę. Kim była? Społecznicą w owym starym politycznym wydaniu, pisarką niosącą „oświaty kaganek” w lud — rozumiany może trochę naiwnie i dziewiętnastowiecznie — ale chyba szczerze ukochany. Pisała monolog i obrazki sceniczne — „Karwał na karnawał”, „100 rózów ku uciesze młodych”, „Zdrójca”... Nie patrzył zbyt surowo na tę twórczość. Zrodziła ją epoka — niech więc zostanie jako teń epoki dokument.

Niech zostanie za szkłem muzealnej gabloty, tak jak ów zielony skrawek papieru z napisem „Teatr Narodowy — strąpion 1-go piętra, prawy, rząd 2, krzesło 7.” Z biletu nie oddarto kuponu bez którego „bilet nieważny”... Ktoś go widać nie wykorzystał, ktoś nie posiadał do teatru na ten właśnie spektakl. Dlaczego? Nikt o tym nie dowiedział się po latach. Czas unieważnił tamte spektakle, choć bilet posiada nie oddarty kupon...

Zadumałem się nad zielonym paskiem papieru, ale oto pan Kosiński podaje mi nową porcję wrażeń... Programy teatralne. Teatr Polski w Poznaniu — lata dwudzieste. Na o-

kładce reklama „Eau de France” — wody kolońskiej. „Skład główny: R. Barcikowski”. Na ostatniej stronie wice-miss Polonia Larisa Winkowska reklamuje z promiennym uśmiechem: „Doskonale mydelka marki „Blask” przewyższająca zagraniczne fabrykacji swoją jakością”... A w środku program jakiejś francuskiej komedii w 5 aktach pt. „Proszę wśród bledaków”. Szukam w długim szeregu nazwisk aktorów i — jest: Maria Zarebńska, późniejsza żona Władysława Broniewskiego, adresatka najpiękniejszych wierszy z tomu „Drzewo rozpaczające”.

Czy grano tylko komedie francuskie? Skądże! „Ksiądz Marek” Stowackiego, „Noc listopadowa” Wysockiego... A wśród aktorów Stanisława Wysocka Janusz Warnecki, Józef Kondrat...

Wreszcie zupełnie osobny dział zbiorów pana Henryka Kosińskiego — afisze teatralne. Tu już stół nie wystarczy — miejscem eks pozycji musi być podłoga. Oto afisz-gigant 1 x 2 m. zapowiadający objazdową „Rewię pieśni, humoru i tańca”. Dla kontrastu małe plakaciki anonsujące „Gościnne występy Teatro di Piccoli” z roku 1928...

Na koniec rarytasy, które śmiało mogą być ozdobą każdego muzeum. „Teatr Polski w ogrodzie Połockiego w Poznaniu w sobotę dnia 1 kwietnia 1876. Siódmy występ go-

elny pan Henryk Ładnowskiej artystki teatrów lwowskich.” A potem ogromne litery: BARBARA RADZIWIŁLOWNA. Krzesło parterowe — jak głosi afisz kosztowało 2 marki a bilety można było nabywać m.in. w cukierni pana Starka.

Są na afiszach nazwiska z podręcznika historii teatru — Bolesława Leszczyńskiego, Trapszów... są pozycje wielkie jak „Mazepa”... Jest afisz z roku 1910 głoszący, że „Towarzy stwo Łódzkich Artystów” zaprasza na dramat „Rzobojniki” Szyllera.

Ale przecież nie grano tylko wielkiego repertuaru... Więc i ten afisz jest ważny, właśnie ten z 6 stycznia 1889 roku z zapowiedzią „dramatu w 5 aktach z francuskiego pt. „Złodziejka”. Dramat zapewne porwany — bohaterami byli: Lord Trevellin, majetek Adams, służący James, policjant Johnson... Bilety kosztowały 10 srebrnych groszy — „dla panów gimnazjalistów — 6 srebrnych groszy”.

Czas kończyć podróż, choć papierowy świat fotografii, programów i afiszy wiele jeszcze obiecuje wrażeń. Zapadł zmrok, za oknem dzwoni tramwaj... Czas żegnać teatr minionych lat zamknięty w tecz kach. Ale przecież spotkamy się jeszcze — w gablotach łódzkiego Muzeum Teatru.

JERZY WIDOK

Bez strachu

W SPRAWIE GOŁĘBI

Od dzieciństwa wpajają nam przekonanie o łagodności gołębi, o ich dobrotliwym pokojowym usposobieniu, o ich słodyczy, zności, dobrotliwości, świętości. Dziwna jest uporczywość i częstota — powszechność tych nauk i mniemań, dziwna zwłaszcza dla tego, że podobna charakterystyka gołębi stoi w jaskrawej sprzeczności z faktycznym stanem rzeczy... Oto obserwacje gołębi fragmentaryczne, dokonane w ciągu jednego tylko dnia. Wczesnym rankiem przechodzę przez park — odbywają się właśnie gołębie zaloty. Gołębie puszą się w sposób zdradzający próżność i zachłanność — wydają bardzo nieprzyjemne dźwięki, przypominające parskanie podrażnionego kota. Są to sceny tak żałosne, zakłamanie i przykre, że przyspieszam kroku. Po wielu godzinach wracam parkiem — odbywa się właśnie walka gołębi, dziobią się w sposób niestychanie jadowity i tłuką skrzydłami. Walka toczy się o żywność i to o żywność utoną, gołębie są tak ograniczone i zapalczywe, że wzięły za żywność grudkę ziemi. Wróble naszymi parków, bezsprzecznie od gołębi łagodniejsze mają opinię ptaków swarliwych, wróble zresztą są chęba o kilkanaście stopni wyżej zorganizowane psychicznie od gołębi. Psychododę do mieszkania, zmęczony leżą na tapczanie. Przez otwarte okno słyszę pohukiwanie gołębi. Huczą złowroźnie, żalobnie — tęsknią za znacznie miłszym głosem powszechnie szkalowanej sowy. Tyle przypadkowych spostrzeżeń o gołębiach dokonanych w ciągu jednego dnia — może jeszcze uwaga o ulomnym, nie ma bezłotnym gołębiu, którego parkowe gołębie usiłowały równie okrutnie jak niezręcznie zadziobać, uszłi śmierci, tym razem, dlatego, że dobrowolnie wszedł w moje nachylone dlonie. Skąd te powszechne mniemania i nauki o gołębiach, kogo gołębie zdolają sobie pozyskać, kto stoi za nimi, czy raczej za kim one stoją. Gołębie mają mit i u spirytualistów i u materialistów, wyidealizowana postać gołębia służy tu i tam jako najwznieślej symbol. A ten obłąd hodowców, owe „piękne” i „mądre” rasy gołębi, nonsensowne mity o gołębiach bohaterkich łącznikach, patriotach niedłach. Dlaczego nikt nie hoduje wróbel — te mądre i skromne ptaki zadziwiłyby nas niezwykłymi czynami. Skąd te oszczędzania o so wie? Czym jest gołąb wobec metafizycznej niemal wielkości takiego krukka? Kto poniżył przepiórkę i sroki? Czy kiedykolwiek został doceniony gil, a jemioluszek i jedwabniczek? Wszystkie te postacie zostały pominięte usunięte w cieniu przez gołębie, stworzo no legendę gołębia by osłonić jego zupełną małość, jego nicność. Legenda ta jest silniejsza od oczywistych, dostępnych obserwacji faktów — przecież każdy może zobaczyć, że gołąb nie są zło, niezaradne, ponure, zapadł zmrok, za oknem dzwoni tramwaj... Czas żegnać teatr minionych lat zamknięty w tecz kach. Ale przecież spotkamy się jeszcze — w gablotach łódzkiego Muzeum Teatru.

BERNARD SZTAJNERT

Paulina czy Dioniza?

(Dokończenie)

— Panna Dioniza...
— Dioniza? — Julian spojrział na górę. W saloniku były zapalone światła.

— Musieli zabrać ją do szpitala. — Stary służący szedł po schodach za Julianem.
— Powiedz, co się stało?

— Może lepiej będzie, jeżeli ja to panu wyjaśnię. — Lekarz pojawił się w drzwiach salonu.
— Znow miała wypadek! — zawołał Julian.

— Zaraz pana zawiozę do niej. Na dole jest moja maszyna. — Klepnął Juliana w plecy i rzekł tonem uspokajającym: Uważałem, że będzie lepiej, jeżeli na pana zaczekam. Gdy człowiek jest wstrząśnięty, nie powinien prowadzić wozu.

— Ale co się wydarzyło Dionizie? — Julian schodził za doktorem w dół schodów.

— Niedługo się pan dowie. Może było mądrzej nie zadawać zbyt wielu pytań — my-

ślał Julian. Trzeba uważać, aby nie wzbudzić podejrzeń.

* * *

Długi korytarz szpitalny był śnieżnobiały. Czulo się wszędzie środki dezynfekcyjne. Pielęgniarki pchnęły sprężynowe drzwi i dały znak, aby panowie szli za nim bocznym korytarzem. Po obu stronach widzieli dziesiątki zamkniętych drzwi.

— Te kliniki są naprawdę przynębiające — zauważył Julian.

Pielęgniarka otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, aby wpuścić najpierw gości. Doktor Ponsard wszedł pierwszy. Julian postąpił za nim. Ze zdziwieniem stwierdził, że łózko było nie tknięte.

— Gdzie jest Dioniza? — zapytał.

Usłyszał, jak drzwi się za nim zamykają właśnie w tym momencie, gdy spostrzegł sztabę na oknach i elegancką skórzaną walizkę na krześle.

— Ależ to jest moja walizka! Obrócił się nagle i zobaczył muskularnego pielęgniarkę, który opierał się o zamknięte drzwi. Chłopisko uśmiechało się ironicznie.

Julian schwył doktora za rękaw. — Proszę mi natychmiast wyjaśnić o co tu chodzi? Co się dzieje?

— Julianie, przykro mi, że zrobiłem panu ten kawał.

— Kawał? Mnie? Jaki kawał?

— Mówiąc panu, że Dioniza leży tutaj. Umówiliśmy się, że będzie to najłatwiejszy sposób, aby namówić pana do przyjazdu bez uciekania się do siły.

— Ostatecznie, gdzie się teraz znajdujemy?

— Powiedział pan każdej z swych sióstr, że ma pan zamiar zabić tę drugą.

— Czy one to panu powiedziały?

— Tak. Najpierw zwierzły się sobie wzajemnie.

— Mam nadzieję, że pan nie uwierzył!

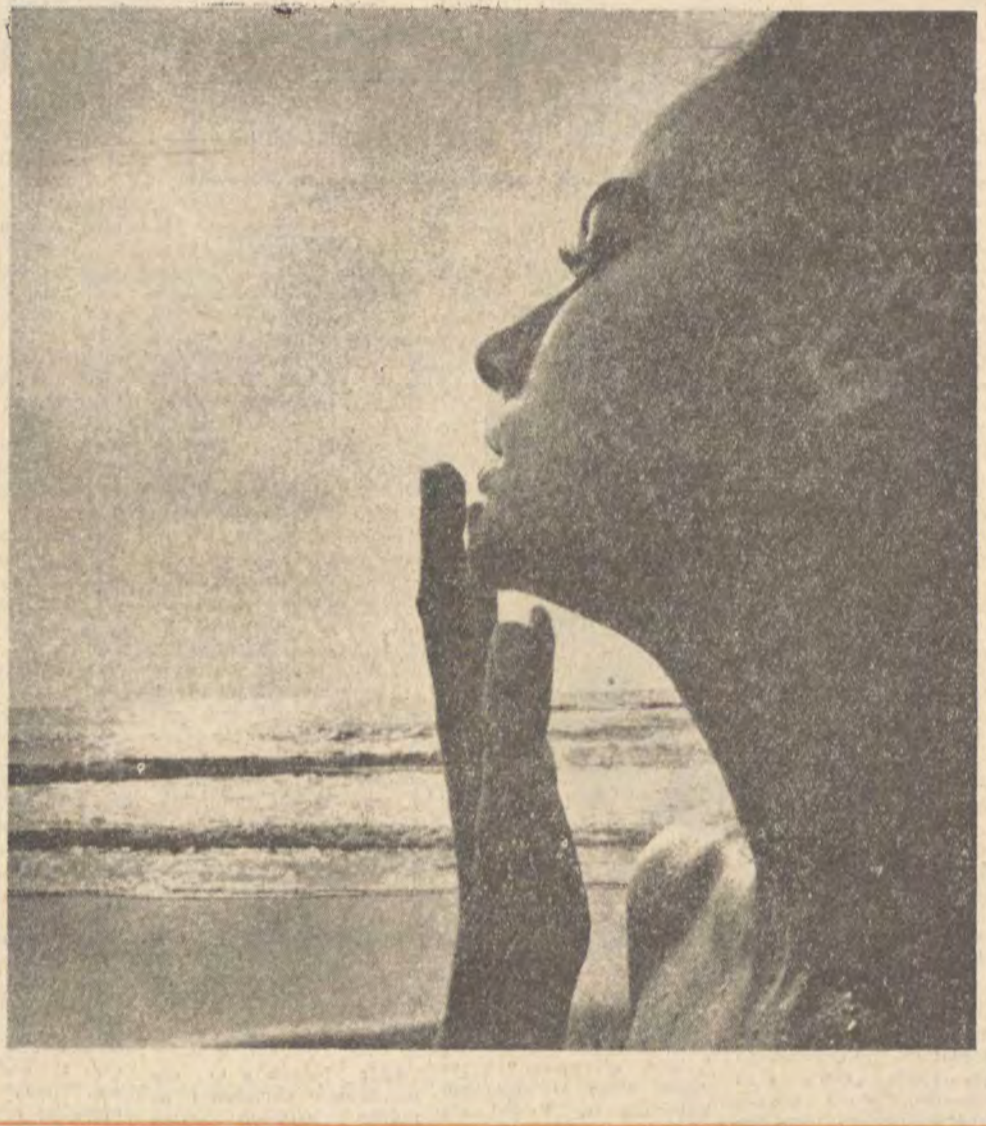
— Julianie, jak pan mógł wymyślić coś tak potwornego!

Julian obejrzał się wokół. — Czy to jest zakład dla obłąkanych?

— Siostry prosiły, aby pana zamknąć. Zalały wszystkie for malności prawne. Odpowiednie dokumenty zostały podpisane dziś po południu. Przyniosła mi je Paulina.

Ach tak, oto już wiadomo, gdzie tak długo przebywała Paulina!

— Pozwólcie mi wyjść stąd! Chcę zobaczyć Dionizę i Paulinę, przyprowadźcie je obie tutaj! Muszę natychmiast telefonować do mego adwokata! — krzyczał Julian. Uczępił się rozpaczywie ręki lekarza. W tej



samej chwili podbiegł pielęgniarkę i obezwładnił Juliana.
— Niestety, nie może pan zobaczyć swoich sióstr — rzekł Ponsard. Jutro zawiadomę pańskiego adwokata. Dobranoc panu.

Wieczorem przybył adwokat z gazetą w ręku.

— Musi mnie pan stąd wyciągnąć — niecierpliwł się Julian.

— Obie siostry podpisały dokument według wszelkich reguł prawa. Jest prawie niemożliwe, aby panu przywrócić wolność.

— Musi pan znaleźć jakiś sposób. Zapłacę panu każdą sumę!

— Obawiam się, że nie zostanie panu ani jeden cent. Testament pańskiego ojca przewiduje, że gdy jeden z trzech spadkobierców umrze, lub będzie uwięziony czy zamknięty w domu obłąkanych, pozostali spadkobiercy podzielą się dochodami.

— Dom obłąkanych? Zapomniałem o tej klauzuli.

— Pańska kwota przeszła wczoraj do sióstr. Nie chciały znajdować się w Paryżu w chwili, gdy pan miał być zamknięty. Późnym wieczorem udały się na Riwierę.

— Czy pojechały pociągiem?

— Nie, autem. Wóz prowadziła Paulina. Niestety, zdarzył się wypadek. Policja stwierdziła, że hamulce nie funkcjonowały.

Adwokat rozłożył gazetę. — Tu jest opis wypadku. Paulina i Dioniza Laurent nie żyją.

Julian nie spojrział na gazetę. — A więc może mnie pan teraz stąd wyciągnąć! Cały majątek przeszedł na mnie.

— Nie, Julianie. Testament mówi wyraźnie, że w przypadku, gdy troje spadkobierców umrze, lub będą uwięzieni itd., cała własność ma przejść na waszą kuzynkę, Angelikę.

— Angelika? Przecież to nie jest prawdziwa kuzynka!

— Jest kuzynką drugiego czy trzeciego stopnia. Matka Angeliki była ulubienicą waszego

ojca... jeszcze przed waszym urodzeniem.

— Muszę natychmiast skontaktować się z Angeliką! Wróćcie do Paryża!

— Telefonowałem dziś rano do pani Angeliki, aby ją poinformować, że stała się jedyną spadkobierczynią majątku rodziny Laurent. Była bardzo wstrząśnięta, gdy usłyszała o tragicznym zgonie pańskich sióstr. I tym także, co się przydarzyło panu. Jednocześnie wyjaśniła, że jest absolutnie niemożliwe, aby teraz mogła wrócić do Paryża, gdyż niedługo zawrze nowy związek małżeński.

— Jak to, wychodzi za mąż?

— Tak, za pewnego pana z Montreux. Powiedziała mi, że go zna od kilku lat. — Adwokat skierował się ku drzwiom. — Pani Angelika prosiła mnie, aby wyrazić panu całą jej sympatię, współczucie i głębokie zrozumienie. Prosiła także, abym zarządził, żeby podawano panu potrawy specjalne. Najlepsze! Tak się dosłownie wyraziła.

Oprac. A. S.

„Siłaczka i Judym 69”

Redakcja „Odgłosów”, wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMW organizuje spotkanie społeczników Ziemi Łódzkiej pn. „SEJMIK SIŁACZEK I JUDYMÓW 69”. Celem tego spotkania będzie podsumowanie dorobku pracy społecznej na przestrzeni 25 lat istnienia Polski Ludowej. Pragniemy również, żeby najlepsi i najzarliwsi społecznicy woj. łódzkiego podzieliли się swymi doświadczeniami, sukcesami i trudnościami w swej pracy, oraz zamierzeniami na przyszłość. W związku z tym ogłaszamy ankietę-konkurs, w której udział może, i powinien wziąć każdy działacz społeczny. Obok imienia i nazwiska, zawodu, wieku i miejsca zamieszkania prosimy o odpowiedzi na następujące pytania:

- ◆ Jakie cele zrealizowałem pracą społeczną?
- ◆ Jakie napotykałem trudności i jak je przezwyciężałem?
- ◆ Co zamierzam zrobić dla swej wsi, miasteczka, kraju w najbliższej przyszłości?
- ◆ Jaki sens ma dla mnie praca społeczna.
- ◆ Czy w naszych czasach jest miejsce dla „Siłaczek” i „Judymów”?

Autorzy najciekawszych wypowiedzi zostaną zaproszeni na spotkanie, a ich prace drukować będziemy na łamach „Odgłosów” i czasopism regionalnych. Gorąco zapraszamy do udziału w ankiecie. Prace można nadsyłać na adres redakcji „Odgłosów”, Łódź, Piotrkowska 96.

KOMITET ORGANIZACYJNY
SEJMIKU „SIŁACZEK I JUDYMÓW 69”



Lewym
okiem

PIERWSZY SIWY WŁOS...

Nie mamy lekkiej ręki do reklamy. Już nawet tym razem nie chcę powtarzać, że działalność reklamowa wielu naszych przedsiębiorstw wynika z bezpardonowych poleceń władz, a nie z potrzeby, że nie koreluje zupełnie z rzeczywistością działalnością gospodarczą, że namawia publicznie do kupna nieistniejących rzeczy. Mimo wszystko bywają przecież sytuacje, kiedy reklama jest celowa, potrzebna, konieczna. Jak się ją robi?

Właśnie: nie mamy do tego lekkiej ręki. Może nie ma fachowców. Reklama jest często nieciekawa, brzydka, mało pomysłowa.

Styszałem niedawno przez radio piosenkę o łupieżu. Dowcipna, owszem. „Spostrzegłam dzisiaj pierwszy siwy włos na twym kołnierzu — i coś tam dalej — szarym od łupieżu”. Nieapetyczne, odpychające. A to właśnie miała być reklama szamponu do włosów. Reklama, która powoduje odruch abominacji.

Podobnie dzieje się, kiedy środek na odciski reklamuje się naturalistycznym rysunkiem — albo, co gorsze, gipsowym modelem — zniekształconej, paskudnej stopy ludzkiej. Widziałem też powiększony monstrualnie rysunek trzonowego zęba, pełnego spróchniałych dziur. Na szczęście producenci czopków nie są tak dosłowni w swych anonsach, ukazują uśmiechnięte twarze, aż przyjemnie popatrzeć.

Od wielu lat znany jest na całym świecie francuski ser „La vache qui rit”, czyli „śmiejąca się krowa”. Na etykiecie pudełek z tym serkiem rzeczywiście poczciwe bydlę śmieje się całą gębą. Podobną śmiejącą się krowę spotykam na wielkich planszach, rozstawionych wzdłuż niektórych naszych szos. Nie mogę się przy tym nadziwić, z czego się ta krowa śmieje: plansze

ustawiła Centrala Skupu Surowców Skórzanych i propaguje przy ich pomocy... masowce i eleganckie ściąganie skór z czego się tylko da. Z czego się ta krowa cieszy? Ze ją ze skóry odebra?

Najenergiczniej reklamuje się przemysł kosmetyczny i to jest oczywiste. Nie reklamuje się w ogóle przemysł wydawniczy. O nowościach książkowych dowiadujemy się z witryn księgarskich, recenzje czytamy w parę miesięcy po wyczerpaniu nakładu, a zresztą nie każdy lubi czytać recenzje. Zwyczajnych reklamowych anonsów nie ma, w rodzaju: „Już za parę dni w sprzedaży sensacyjny pamiętnik byłego przedszkolaka”, albo „Zadajcie w waszej księgarni nowego nakładu Malej Encyklopedii Jajczarskiej”. Reklamę tego typu uruchomiło wydawnictwo nowego tygodnika „Perspektywy”. I co? Reklama na złość poskutkowała, kioskarczom zabrakło sił do odpowiadania co chwile: nie było, nie ma, było, nie ma. Kto wreszcie widział te „Perspektywy”? Zaden z moich kilkudziesięciu znajomych nie zdążył. Ani w czytelnikach, ani w klubach. Nie widać nawet z daleka. Ogłoszenia ukazują się nadal: czytajcie „Perspektywy”!

Gdzie mamy czytać? La vache qui rit!

ĆWIEK